Nr. 38. Warszawa, dnia 20 (8) Września 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownych abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Odpowiadając przytem na liczne zapytania, donosimy, że obie zapowiedziane przez nas książki: **Encyklopedya dla dzieci** (ilustrowana) i **Psychologia dziecka** znajdują się w druku i wkrótce wyjdą.

NASZA EMIGRACYA DO BRAZYLII.

Jakkolwiek fakt wzmożenia się emigracyi ludu naszego z gubernij pogranicznych (a zwłaszcza piotrkowskiej) jest niewątpliwym, ani jego dążności, ani rozmiarów ściśle nie znamy. Przeszkadza tu z jednej strony trudność mierzenia takiego wylewu, niezawsze dostrzegalnego i niezawsze zdradzającego swe cele; z drugiej — stare nałogi naszych korespondentów prowincyonalnych, którzy dotąd ufają nieskontrolowanym wieściom, nie wahają się ubarwiać je fantazyą i lekceważą prawdę. Od lat już wielu prasa powołuje do współpracownictwa i kształci tych sprawozdawców, ucząc ich zapomocą rad, napomnień, próśb, a nieraz smutnych doświadczeń, że tylko doniesienia wiarogodne mają wartość i wywierają wpływ; mimo to ciągle śród zastępu reporterów prowincyonalnych zaledwie drobny procent zasługuje na kredyt i wiarę w swych zeznaniach. Bez sumiennej zaś ich pomocy niepodobna zbadać i ocenić tak złożonego zjawiska, jak emigracya, gdyż ciągle potykać się musimy o wiadomości sprzeczne. Według korespondenta *Wieku* z okolic Warty, „jakiś szał ogarnął ludność *wiejską*, która widzi dziś w Brazylii kraj mlekiem i miodem płynący i czekający tylko na przybyszów zamorskich. W naszych stronach — pisze on dalej — niema prawie wsi, w którejby kilka albo kilkanaście rodzin nie opuściło kraju, skazując się dobrowolnie na pewną nędzę i zgubę; niema dworu, w którymby nie ubyło po kilku lub kilkunastu ludzi na ordynaryi, porzucających służbę w ciągu kwartału. W ruchu tym biorą udział nawet zasobni gospodarze, posiadający po parę włók gruntu, których nic nie powinno skłaniać do awanturniczej wyprawy. Pod wpływem bałamutnych wieści porzucają wszystko, sprzedają ziemię za bezcen i całemi rodzinami emigrują do kraju, gdzie według wiarogodnych wiadomości jednemu z ich znajomych, czy krewnych czarni mieszkańcy tamtejsi ofiarowali za zwykłe gliniane dwojaczki od jedzenia dwie duże bryły, srebrną i szczerozłotą.“ Zdawałoby się wobec tego sprawozdania, że emigracya ludności *wiejskiej* przybrała olbrzymie rozmiary. Ale w tymże numerze *Wieku* znajdujemy korespondencyę z Lutomierska do *Głosu*, która znowu tak świadczy: „Co się tyczy włościan, to śród nich emigracya jest *słaba* i dotknęła przeważnie *niemców*. W tych dniach rozmawiałem z pewnym włościaninem z pobliskiej wsi i zapytałem go, czy od nich wybierają się do Brazylii. Odebrałem odpowiedź, która mnie wielce zdziwiła: „Panie, co nam myśleć o emigracyi; my tego nie możemy robić, póki nie wyrugujemy z gruntów niemców i żydów. Niech ci emigrują, my zaś będziemy od nich grunta kupowali i dopiero gdy zbraknie niemców i żydów, a wszystkie grunta przejdą do nas i będzie nam za ciasno, wówczas będzie można mówić o emigracyi, a teraz jeszcze za wcześnie.“ Czy prawdę mówi ten polityk z pod Lutomierska, przypominający Ślimaka z *Placówki*, czy korespondent z nad Warty? A takich sprzecznych doniesień możnaby zestawić długi szereg. Podczas gdy jedni na tysiące obliczają ilość wychodźców z ludu wiejskiego, inni albo przeczą faktowi, albo odnoszą go do robotników fabrycznych lub niemców.

Odezwał się wreszcie w tej sprawie głos urzędowy. Gubernator piotrkowski wydał okólnik w celu zatamowania ruchu emigracyjnego, który — według niego — objawił się w wielu miejscowościach, przeważnie jednak w fabrycznej okolicy łódzkiej śród „włościan, rzemieślników i robotników.“ Wynikł on z podżegań agentów zagranicznych, którzy kłamliwemi obietnicami nawiają prostaczków do opuszczania kraju i szukania szczęścia w Brazylii, gdzie go nigdy nie znajdują. „Gorący bowiem jej klimat działa zabójczo na zdrowie wychodźców, w wielu okolicach grasuje epidemiczna ospa i żółta febra, a w całej północnej części panuje głód z powodu nieurodzajów w ciągu trzech lat ostatnich. Przemysł w ogóle, a fabryczny w szczególności stoi w Brazylii na najniższym stopniu rozwoju; to też praca rzemieślników i robotników fabrycznych nie ma tam żadnego popytu. Obszerne przestrzenie nigdy nieporuszonych gruntów wymagają ciężkiej i długiej uprawy, a praca rolnika wynagradza się zaledwie po wielu latach nadzwyczajnego wysiłku i bezustannych zachodów.“ Taką ma być owa ziemia obiecana, do której naganiacze zagranicznych towarzystw przewozowych pędzą lud obałamucony. Do tych wyjaśnień p. gubernator dołącza przestrogę z kodeksu karnego dla tych, którzy rozczarowawszy się na miejscu i utraciwszy prawa obywatelskie swego kraju, chcieliby do niego kiedyś powrócić.

O ile tedy z przytoczonych oraz innych świadectw i dowodów wnosić można, emigracya z naszych kresów zachodnich wzrasta; ponieważ zaś główny jej potok wypływa z gubernii piotrkowskiej i ognisk wielkiego przemysłu, przeto jest widocznem, że ona naprzód porwała swym prądem robotników fabrycznych, a ci dopiero pociągnęli za sobą włościan. W stosunkach więc i położeniu pierwszych szukać należy jej źródła i tam ją tamować, nie samym wszakże zakazem, ale także poprawą warunków bytu ludności uciekającej z kraju. Niestety, poprawa ta zależy od nieskłonnych do filantropii fabrykantów, którzy ulegają tylko pobudkom i naciskowi własnego interesu, zwłaszcza gdy, jak w tym przypadku, są przybyszami obcymi. Jedyną nadzieję pokładać można w przypuszczeniu, że ich ten

interes zmusi do pomyślenia o swym ludzkim inwentarzu roboczym. Bo jeżeli istotnie z Łodzi, Zgierza, Pabianic i innych osad fabrycznych wyemigrowało na wiosnę 4000 ludzi, to przy równomiernym postępie dalej mogą oni w liczbie bardzo zmaleć, a ręce do pracy zdatne — zdrożeć.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeżeli szwajcarska Rada związkowa zapewnia, że wiadomość o rewolucyi tessyńskiej spadła na nią jak piorun z pogodnego nieba, to najzupełniej temu zdumieniu wierzymy. Rewolucya w Szwajcaryi — chociażby tylko w jednym kantonie! Kto mógł mieć sen tak dziwny — a cóż dopiero przypuszczać możliwość takiego wypadku. Skoro wszakże stał się — musimy wiedzieć, o co spokojnym zwykle i zadowolonym z siebie w tym buncie chodziło. Stara i wiecznie nowa historya: liberałowie tessyńscy wnieśli opatrzone 10,099 podpisami podanie, żądające rewizyi statutu kantonalnego. Przypuszczając, że rząd ultramontański zapomocą kwestyonowania podpisów i innych sztuczek adwokackich chce sprawę przewlec, założyli rekurs do Rady związkowej. Zanim ta wszakże zbadała ich skargę, rząd rozrzucił po kantonie odpowiedź drukowaną, czem przeciwników jeszcze bardziej rozdrażnił. I oto dnia 11 b. m. w Bellinzonie gromada radykałów, poparta wkrótce przez tłum ludu, udała się do gmachu rządowego, wyłamała zamknięte drzwi i zaaresztowała radców, przyczem jeden z nich (Rossi) podobno przypadkiem został zabity. Strzelano bowiem przy tej operacyi rzęsiście. Mniej więcej to samo powtórzyło się w innych miejscach i zwycięzcy przy huku armat objęli rządy kantonu. Rada związkowa wysłała wojsko, uwolniła uwięzionych, zarządziła śledztwo, ale ponieważ niema ona ani właściwych praw, ani sił zwierzchniczych, więc koniec tego zatargu zależy od zachowania się ludności miejscowej.

Cesarz niemiecki znowu urządził sobie spotkanie z austryackim w Rohnstock na Szlązku. Z początku niemcy te ciągłe podróże swego monarchy uważali za akty grzeczności względem sąsiadów; potem zaczęli im przypisywać cele doniosłe, obecnie już coraz niecierpliwiej oczekują skutków. Czy one nastąpią, tj. czy wycieczki Wilhelma II mają jakiś plan polityczny — niewiadomo. Przynajmniej w mowach swoich i toastach on takiego planu nie zdradza. Zwykle bowiem są one na obcym gruncie wymianą serdeczności za granicą, u siebie zaś pasmem wspomnień z przeszłości i ogólnikowo wyrażanych nadziei na przyszłość. Z Wiednia jedzie cesarz niemiecki do Włoch.

W Berlinie, Wiedniu, Belgradzie, Peszcie dyplomaci rozprawiają ciągle o świniach. Prusacy dopuścili austryackie, węgrzy zaś trzymają ciągle zamkniętą granicę przed serbskiemi; a ponieważ zarówno zgoda pierwszych, jak waśń drugich dojrzewają w targach i sporach, przeto od pewnego czasu gazety ciągle brzmią wieprzową dyskusyą. Jak wieść niesie, ministrowie węgierscy sprzyjaźnili się nieco z serbskimi przy rozsadzaniu skał u Żelaznych Wrót Dunaju, co obchodzono z obu stron bardzo uroczyście. Więc może biedne świnie serbskie otrzymają paszporty do Austryi i przestaną kwiczeć — w dziennikach.

Dziwna wiadomość nadeszła z Zanzibaru do Europy: że konsul niemiecki przywrócił zniesione przez sułtana tamtejszego prawo handlu niewolnikami. Brzmi to wprost potworną ironią, bo przecież niemcy wszystkie swoje wyprawy i zabory w Afryce okrywali płaszczem cywilizatorów, mających tępić handel niewolnikami.

Francya babrze się dalej w błocie bulanżyzmu, rozrabianego coraz nowemi odkryciami. Najsmutniejszem w nich jest udowodnienie, jaki to mizerny kiep trząsł wielkiem państwem i omal niem nie zawładnął. Niechże te z naszych dzienników, które wskazywały nad jego czołem gwiazdę, nie czytają owych odkryć, bo doznają zbyt wielkiej boleści.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z AUSTRYI.

14 września.

Powódź i polityka. — Widok Pragi zalanej wodą. — Most Króla Karola. — Postępy młodoczechów. — Wybory do sejmu austryackiego. — Nowy statut miasta Wiednia i przedmieść.

Katastrofa, która nawiedziła Pragę i wielką część Czech, uśmierzyła na razie wojnę domową pomiędzy niemcami i czechami, a śród ostatnich pomiędzy starymi i młodymi. Wylew Mołdawy spowodował, że cała prasa austryacka z równem współczuciem zajmuje się losem mieszkańców Pragi. Zamiast zwykłych zjadliwych wycieczek i wywodów politycznych, łamy dzienników mieszczą obecnie długie sprawozdania o rozmiarach klęski i szczegółach pomocy ratunkowej. Bo też istotnie współczucie i obawę obudzić może okoliczność, że miasto cywilizowane, zaopatrzone we wszystkie środki ochronne inżenieryi nowoczesnej, a nieleżące nad brzegiem morza, wskutek wylewu rzeki tak olbrzymią może ponieść szkodę. Dzielnica Josephstadt, która zawsze najbardziej cierpiała od powodzi, niemal całkowicie jest zalana wodą. Musiano nająć ludzi, którzy przenosili na plecach mieszkańców. W niektórych pokojach spać musiało po 10—15 osób. Nawet rozdzielanie żywności napotykało przeszkody, na niektórych ulicach mieszkańcy cierpieli głód. Co chwila widziano kosze spuszczane z okien, które pionierzy, utrzymujący komunikacyę czółnami, napełniali wiktuałami, o ile je mieli. Na ulicy teatralnej nie można było zgasić lamp gazowych; płonęły one przez dzień cały. Wielu ludzi zginęło w nurtach; lecz nic tak głęboko nie ugodziło w serce prażan, jak zawalenie się mostu Karola. Był to jeden z najwspanialszych pomników architektonicznych Pragi, obfitującej w starożytności budowlane. Historya wypisała swe znaki na potężnych kamieniach tego zabytku, legenda oplotła je siecią zabobonów ludowych, cały naród upatrywał w tym moście, łączącym Hradczyn ze starem miastem, symbol potęgi i odrębności narodowej. Kto widział jego olbrzymie sklepienia, wznoszące się o 7 metrów ponad powierzchnią wody, nie przypuszczał możliwości katastrofy. Daremnie też ręka ludzka usiłowała dokonać dzieła zburzenia, które dziś rozpasane żywioły spełniły. Podczas oblężenia szwedzkiego w r. 1648 mieszczanie prazcy próbowali rozbić jedno sklepienie mostu, aby odciąć nieprzyjacielowi przystęp. Podczas wojny siedmioletniej jenerał Harsz, również bezowocnie, usiłował rozstrzelić sklepienie, dla powstrzymania prusaków. Dziś zaś runęły trzy sklepienia tego mostu, którego budowę rozpoczęto w r. 1357. W sto lat po ukończeniu, wylew Mołdawy znacznie go uszkodził; następnie zaś dopiero w r. 1784 lód rozbił jeden z filarów. Tablica umieszczona na wieżycy uwidocznia, że cesarz Józef II zrestaurował wówczas pyszne dzieło mistrza Matyassa Arrasa. Lud przecho-

---

Mój Siostrzeniec.

Wspomnienie.

Jasne miał włoski nad czołem i śliczne chabrowe oczęta. Uśmiechał się do świata tak pieszczotliwie i wdzięcznie, że niepodobna było przejść mimo niego obojętnie.

Byłem jego ojcem chrzestnym. Bogatego, bezdzietnego stryjaszka zaszczyt taki nie mógł ominąć...

Pamiętam ten ciepły dzień wiosenny, kiedy otulonego zwojami białego muślinu malca wieźliśmy do gołomińskiego kościołka. Pamiętam tę ciemną zakrystyę i księdza staruszka, i samego siebie wystraszonego tym płonącym ciężarem i zimną wodą, której mu nie szczędzono.

Usnął, nierozbudzony ani naszą głośną z głuchym proboszczem rozmową, ani długiem sadowieniem się do wiejskiej landary, gdzie znowu niepokoiły go swem muskaniem gałązki wierzby przydrożnej.

Jasne słońce świeciło wtedy tak radośnie, tak obiecująco... wiosna pachniała dokoła. Niedaleko Gzowa, gromadka dziewcząt, bawiących się nad rowem, rzuciła w nas pękiem kwiatów „na szczęście"—jak zawyrokowała gruba piastunka.

Zatknąłem mu owe złote jaskry za wiązanie poduszki i tak ustrojonego oddałem czekającej nas w ganku matce.

Gwarno było dnia tego w Gzowie. Gości sproszono z całej okolicy. Od zwyczaju święcenia chrzcin trudno się było wymówić. To też krewniak mój, choć niebogaty i przybyciem piątego już z rzędu potomka nieucieszony, musiał dać festyn, radować się i pić z innymi.

Mały bohater dnia zniknął wkrótce z widowni. Nad ranem dopiero, gdy zmęczony gwarem, napróżno szukałem spoczynku po wszystkich kątach mieszkania, znalazłem malca ukrytego w ciemnej alkowie, za perkalową firanką, tamującą jakikolwiek możliwy tu dopływ światła i powietrza.

Ale chłopak nie zdawał sobie z tego sprawy. Drobne nożyny zdołały już rozkopać krępujące je poduszki, dwie małe piąstki tulił do rozchylonych usteczek, oczyma gonił migotliwy płomień kopcącej lampki naftowej i gaworzył coś do siebie, na wcale wesołą nutę.

Biedaczek, gdyby zrozumiał, jak nieproszonym był gościem dla własnego ojca! Przed godziną właśnie prowadziliśmy długą, na niewesoły temat rozmowę. Od trzech lat wszystko mu się nie wiodło. Urodzaje nie dopisały, bydło po raz drugi nawiedził księgosusz, stodoły domagały się naprawy, a dzierżawę podwyższono jeszcze! Wyżyw że tu rodzinę, za starszego chłopca płać szkoły, do młodszych trzymaj nauczyciela, a kiedy końca z końcem powiązać nie możesz, zjawia ci się nowy kłopot — nie wiedzieć po co. Jedna gęba więcej do żywienia, i dla tej chleb, co są, nie starczy.

— Ot — kończył — łaska boska, komu niepotrzebna!.. Wam, coście bogaci i dzieci pragniecie, nie ześle ich niebo, taka to jest sprawiedliwość!

— A jednak, gdybym chciał zabrać Władysia, nie oddalibyście go na zawsze—wtrąciłem nieśmiało.

— A to dlaczego? — podchwycił — nie powtarzaj tylko dwa razy, bo cię za słowo przytrzymam!

— Ty, jak ty — przerwałem — ale matka...

— Matka — odpowiedział — i jak jeszcze! albo to ona mało się tem namartwiła przez całe dziewięć miesięcy? Czy i bez niego, z resztą, nie ma dosyć kłopotu? Gdybyż jej przynajmniej zdrowie dopisywało, ale przeklęty reumatyzm żadnemu z nas nie przepuści. Wina to tej wilgotnej chałupy, co ją no moczarach sam djabeł chyba wystawił! Każdy doktór powtarza, że nikt z nas w niej zdrowym nie będzie, zaleca nowy dom pobudować... Daj bratku grosze, to

wuje podanie, że kamieniarze, którzy w XIV stuleciu most ten zbudowali, wapno i piasek zaprawiali winem i jajami. Piękne wieże gotyckie, zdobiące jego brzegi, należały do planu pierwotnego. Następne wieki ozdobiły most króla Karola szeregiem posągów, z których każdy niemal osobną ma historyę. Najsławniejszy z nich zginął obecnie w falach wezbranych. Był to spiżowy posąg św. Jana Nepomucena, patrona czeskiego, wzniesiony w r. 1684. Płyta marmurowa, na niej krzyż, wskazywały miejsce, z którego siepacze królewscy wrzucili do Mołdawy niezłomnego spowiednika. Lud przypisywał cudowną siłę temu posągowi i płycie. Corocznie 16 maja gromadziły się tu tysiące chorych; zwłaszcza chorzy na oczy twierdzili, że wystarcza dotknąć się płyty a następnie oka, aby być uleczonym. Mitu tego niepodobna było wykorzenić; kiedy epidemia oczna przez nabożnych pielgrzymów wniesioną została do Pragi, kardynał Szwarcenberg daremnie występował przeciw wierze ludu.

Z pomiędzy posągów, które zginęły w nurtach, zasługuje jeszcze na wzmiankę grupa wyobrażająca Lojolę w otoczeniu murzynów, turków i indjan. Zwłaszcza otyły turek wpadał w oko każdemu przechodniowi.

Rzecz pewna, że Praga niedługo pozostawi most ten w tak smutnym stanie; ma on być zrestaurowanym tak, iż odzyska całkowicie dawną swą fizyognomię.

Sejm czeski, który pono w najbliższych tygodniach zwołanym będzie, podejmie niezawodnie szeroką akcyę ratunkową z uczestnictwem państwa. Charakterystycznem jest dla stosunków politycznych, że młodoczesi zmonopolizowali na razie pomoc. Oni to utworzyli komitet ratunkowy, wysłali deputowanych do namiestnika i prezydenta ministrów. Staroczesi odstąpili im miejsce naczelne bez walki; boć też wybory uzupełniające do sejmu, odbyte w dniach ostatnich, dowiodły, że staroczesi całkowicie stracili grunt pod nogami.

Zacięte walki stacza obecnie stronnictwo liberalne z konserwatystami i antisemitami przy wyborach do sejmu dolno-austryackiego. Sejm ten powołany będzie do uchwalenia ustawy, określającej nową organizacyę Wiednia, połączonego z przedmieściami. Powiększenie to zrazu sama stolica i przedmieścia powitały chórem okrzyków radosnych. Zwolna jednak wyłaniać się zaczęła opozycya. Antisemici zwalczać zaczęli uchwałę, gdyż zawdzięczano ją inicyatywie większości liberalnej; a kiedy zgromadzenia przedmiejskich rad gminnych okazały, że przyszła rada miejska składać się będzie w znacznej większości z żywiołów liberalnych, antisemici rozpoczęli walkę systematyczną, mającą na celu zniesienie projektu nowej organizacyi, lub co najmniej spaczenie całej sprawy. Czując, że w Wiedniu i w przedmieściach ich robota nie może liczyć na powodzenie, użyli nadarzającej się obecnie sposobności i roznoszą agitacyę przeciw liberałom, żydom i powiększeniu Wiednia po kraju. Rezultat wyborów, od którego po większej części zależy ostateczne przeprowadzenie i uregulowanie nowej organizacyi Wiednia, jeszcze nie jest znanym. Tymczasem komisya, powołana przez namiestnika, pracowała pilnie i wykończyła projekt statutu dla Wiednia, połączonego z przedmieściami. Projekt ten, który naraziе przedstawia tylko materyał dla organów rządowych, daje pogląd na przyszłą administracyę stolicy. Komisya starała się obok zmian, wynikających z samego faktu powiększenia gminy, przekształcić dotychczasowy jej statut w kierunku wskazanym przez doświadczenia czterdziestoletnie. Lecz są to reformy połowiczne i nie odnoszą się do podstaw całego ustroju administracyjnego. System ciał wyborczych pozostaje niezmienionym; liczbę radnych gminnych, mimo znacznego wzrostu liczby mieszkańców, powiększono tylko o dziewięciu członków. Kompetencya rady gminnej i magistratu pozostaje prawie nietkniętą, mimo wsunięcia nowego, trzeciego ciała, rady miejskiej. Cała administracya będzie i nadal całkowicie biurokratyczną, prowadzić ją będą urzędnicy płatni. Nie istnieje zamiar wprowadzenia systemu urzędów honorowych, praktykowanego w Prusach z powodzeniem zarówno dla finansów miejskich, jak dla rozwoju dojrzałości politycznej obywateli.

Bądź co bądź jednak, obraz przyszłej administracyi stolicy naddunajskiej jest wcale imponującym. Po wysunięciu dzisiejszych linij akcyzowych, gmina wiedeńska obejmować będzie półtora miliona mieszkańców.

S.

BADANIA NAUKOWE.

HOME-STEADY W NIEMCZECH.

Kwestya społeczna na Zachodzie Europy przybiera w swoim rozwoju szczególną a charakterystyczną postać. Nie znaczy to bynajmniej, aby jakieś nowe i zupełnie dotychczas nieznane pierwiastki ukazały się w życiu społecznem, lecz przedewszystkiem to, że słabe dawniej wzmogły się silnie i wystąpiły z większą niż kiedykolwiek świadomością. Ponieważ z wszelkiem prawdopodobieństwem wolno mniemać, że przyszłość przyniesie z sobą dalszy rozwój w tym kierunku, uwzględnimy niektóre dzisiaj ukazujące się, a już wyraźne zapowiedzi. Chodzi mianowicie o wzrastającą walkę pomiędzy prądami społeczno-rozwojowymi i społeczno-zachowawczymi. Z jednej strony podnosi się silna a namiętna krytyka, rozporządzająca wszystkiemi danemi niepofałszowanej nauki społecznej i uznana nawet przez najzaciętszych przeciwników, nie tylko analizująca każdy objaw tegoczesności, lecz jednocześnie poddająca surowej chłoście wszystkie projekty, plany i eksperymenty, jakkolwiek złudnymi i demokratycznymi byłyby ich pozory i zawartość, lecz które są istotnie obracaniem się w zaczarowanem kółku tych samych stanów i półśrodków. Z drugiej strony potężnieje inny prąd, który stając w obronie historycznych wzorów niedalekiej przeszłości i bieżącej teraźniejszości, a jednocześnie korzystając z owej krytyki, usiłuje wszelkiemi siłami przeprowadzić pewne reformy, które powstrzymywałyby rozkładowe dążności chwili obecnej i oparły społeczność na stateczno-zachowawczej podstawie. To korzystanie z wywodów przeciwnika dla ukucia broni przeciwko niemu jest faktem wysoce charakterystycznym, a zarazem jaskrawym dowodem głębokości wyłonionej analizy społecznej.

Naturalnie, walka ta nie ogranicza się do sporów na papierze, lecz, jak to dzieje się zawsze w krajach rozwiniętych politycznie, ucieleśnia się na arenie politycznej w formie odpowiednich partyj. Charakter tych wystąpień jest mocno klasowy. Jako odłam krytyczny występują wielko-przemysłowe grupy pracujące. Pozostając w szczególnych warunkach życiowych, które wyrabiają w ich umysłach odpowiednie idee, organizując się pod naciskiem samych stosunków ekonomicznych stwarzanych przez siłę społeczną, w całem słowa znaczeniu tegoczesną, zjawiają się one na widowni jako potęga czynna, ruchliwa, postępowa, która pragnie nadać reformom kierunek zgodny z swym klasowym interesem, a jednocześnie licząc się z powołanymi przez wielki przemysł do życia pierwiastkami. Idzie jej

---

ci i pałacem zaświecę!.. Oj, wiesz co, dobrze byś uczynił, zabierając chłopaka. Wybawiłbyś od reumatyzmu jedno ciało! — zaśmiał się w końcu.

Żywo dźwięczały mi w myśli te słowa, gdym pochylony nad kołyską przyglądał się snem zaróżowionej twarzyczce malca.

Nie miałem dzieci, a tak gorąco ich pragnąłem. Ten miły buziak pociągał ku sobie mimowoli. Czemu nie urodził się on moim synem — myślałem. Byłoby mu tak dobrze, tak przytulnie wśród naszych pieszczot i uśmiechów!..

I nagle, myśl przelotna dotąd, uparcie czepiła się mego mózgu.

Zawsze marzyliśmy z żoną o wyszukaniu na świecie jakiego miłego dzieciaka i wzięcia go za syna. Gdybym tak zabrał Władysia? Ci znajomi rodzice i ten mimowolny sprawca ich nowych kłopotów, biedny, niewinny dzieciak, tak odpowiadał moim planom... Zapełniłby mi życie, odrodziłby mnie na nowo, odpędzając widmo samotnej starości, które coraz częściej sprowadza mi noce bezsenne.

Wprawdzie żona moja odkładała projekt ten na później... zbyt jeszcze była młodą, aby chcieć sobie tak zaraz narzucić ciężar dobrowolnego macierzyństwa. Zdawało mi się jednak, że opowiedziawszy rzecz całą, nakłonię ją bez trudu.

Całą drogę do Warszawy przemarzyłem. Myśl posiadania Władka uśmiechała mi się coraz więcej.

Żona powitała mnie zwykłą swoją żywą serdecznością i gradem zapytań. Zbywałem je lekko, chcąc odrazu wejść na mój temat. Wypowiedziałem go jednym tchem. Chmura przeszła po jej czole.

— Co za myśl — rzekła. Takie tam u nich wszystkie dzieci brzydkie; już jeśli wziąć, to co ładnego; ja bym się inaczej przywiązać nie mogła!..

Odpowiedziałem jej, że Władeczek jest śliczny, że do innych wcale niepodobny, użyłem całej mojej wymowy, aby ją wzruszyć smutną dolą nieupragnionego dziecka; nic nie pomogło...

— Za nic w świecie, ani myślę! — wołała rozdrażniona. Jeśli kiedykolwiek jakie dziecko wezmę, to chłopskie, nędzne, opuszczone — dla idei! Ten twój Władek, mimo wszystko, nie zginie na świecie!

Umilkłem, zwarzony i smutny. Było mi przykro pożegnać się z pieszczonym przez chwil kilka planem, ale gdym spojrzał w uśmiechnięte na zgodę oczy, gdy ucałowałem śliczne, pełne usta — zapomniałem o Władku.

Bez wieści o nim przeszło mi pół roku. Jesienią, „zapalonego" myśliwego wezwał brat na jakieś polowanko. Przez trzy dni od rana do zmroku uganialiśmy się po polach za szarakami. Wieczorem jeździło się na umówione „partyjki" w sąsiedztwo. Czwartego dnia, gdym miał już siadać na bryczkę, napotkałem małą, dwunastoletnią może piastunkę, z Władysiem na ręku. Duży to już był teraz chłopczyna, o bladawej cerze, ale ślicznych, do nieznajomego nawet stryjaszka uśmiechniętych oczętach.

Dawniejsze pragnienia znowu obudziły się we mnie. Porwałem go z ręki „niani," zabawiając cykaniem zegarka, świecącym brelokiem, huśtaniem, gawędą... i byłbym tak zapomniał o godzinie odjazdu, gdyby mnie krewniak mój, wziąwszy malca, gwałtem prawie nie odciągnął.

Tym razem nic za powrotem nie wspomniałem żonie. Niechaj pozna — myślałem — a sama się o niego u mnie dopomni.

W tydzień powiozłem ją do Gzowa, na imieniny bratowej. Władyś przystrojony w nowy jakiś czepeczek, z różowemi wstążkami, wyglądał bardzo powabnie. Odrazu też serce stryjenki pozyskał.

— Doprawdy, miałeś słuszność — powtarzała mi kilkakrotnie — śliczna dziecina i taka miła! uśmiecha się już do mnie, jakby mnie znała...

I trzymała go na kolanach, karmiąc mlekiem, które mu umiejętnie wlewała do buzi, brzęcząc grzechotką, całując i pieszcząc bez końca.

o zdemokratyzowanie sił i stosunków ekonomicznych, zrodzonych przez nowoczesny postęp techniczny. Ta partya polityczna, klasowo-najmicka, musi objąć szersze widnokręgi, niż swojej sfery, już dla tego samego, że w swej działalności wyłania plan oparcia całego społeczeństwa na zdemokratyzowanych wzorach gospodarczych, wytwarzanych przez nowoczesne metody produkcyi. Lecz wielki przemysł tylko w krajach wyjątkowych zagarnął większość członków społeczeństwa; gdzieindziej istnieją nadzwyczaj liczne grupy drobnomieszczańskie: rzemiosło, a przedewszystkiem włościaństwo, z któremi naturalnie owa partya polityczna musi liczyć się, jeśli nie dzisiaj, to wkrótce. Grupy wiejskie, opanowane przez kler i systematycznie przeżeń wyzyskiwane pod względem umysłowym i moralnym, rozproszone w drobnych gromadach na wielkiej przestrzeni, a w takich gromadach rozdrobnione warunkami techniczno - ekonomicznymi na niezależne od siebie i swarzące się osady, pogrążone w nędzy i ciemnocie, są wprost niezdolne do samodzielnej akcyi politycznej. *) A jeśli ją podejmują, to występują z szczególnemi mocno zacofanemi dążnościami, które czynią z nich podporę wszelkiego wsteczennictwa społecznego. Właściwe im podścielisko rzeczone stwarza szczególne pragnienia ekonomiczne, obracające się około własnej obórki i własnego zagonu z idącą w parze wieczną ciemnotą i nędzą parcelową w 3 — 4 pokoleniu, — wprost przeciwne dążeniom najmitów wielkoprzemysłowych. Otóż przed tymi ostatnimi staje konieczność szczególnej polityki, któraby zjednała, jeśli można, odłamy wiejskiego drobno-indywidualizmu, a jednocześnie uniemożliwiała urzeczywistnienie owych pragnień. Środkiem ku temu bywa przedewszystkiem zmniejszenie ciężarów państwowych, rozwiązanie wojsk w milicye gminne, reformy fiskalne. Zresztą chodzi o zjednanie tylko małorolnych, bezrolni, z samego swego położenia pokrewni najmitom miejskim, łatwo przyswajają ich hasła. Cluseret wniósł niegdyś projekt, aby każdy najmita i małorolny francuski, który dojdzie do pewnego wieku, kiedy siły poczynają niedopisywać, otrzymywał stałą pensyę od gminy — jest to wzór, według którego zwykle są ukształtowane tego rodzaju środki zyskania sympatyi na wsi.

*) Mówimy tu naturalnie o krajach rozwiniętych kapitalistycznie.

Przyznając w drobnej własności siłę wsteczną, rozpatrywana partya polityczna nie tylko że nie broni tej instytucyi, ale popiera wszelkie prawa i prądy, pchające ją do zaniku, podając jednocześnie sposoby uniknięcia nędzy dla wywłaszczanych. Są to: prawo do pracy każdego obywatela, ogołoconego ze środków do życia, emerytura państwowa dla każdego pracującego, obowiązkowe leczenie i utrzymanie podczas choroby, zabezpieczenie w wypadku nieszczęścia, Prawo do pracy ma być stosowane między innemi na folwarkach, urządzonym z gruntów państwowych i prowadzonym na odpowiednio wielką skalę według jednolitego planu. Państwo, występując jako wielki a tani, dzięki centralizacyi i ulepszeniom, producent zboża i bydła i posiadając zapewniony rynek zbytu, mogłoby przejść do systematycznego a pokojowego — jak to dzisiaj się odbywa, wywłaszczenia chłopstwa z drobnej osady, zważelając je wprost jako współzawodnik rynkowy, a jednocześnie występują jako jedyny wierzyciel hypoteczny i wcielając wywłaszczonych do folwarku państwowego. Wreszcie partya najmicka broni kulturalnych interesów chłopstwa — nawet wbrew woli tego ostatniego, w takich razach, jak oddzielenie kościoła od państwa, nadanie szkole charakteru świeckiego itp. Te ostatnie fakty wraz z dążeniem do owego wspomnianego wywłaszczenia, z wstrętem do pragnień czysto chłopomańskich, oraz z zapatrywaniem, w jakich warunkach państwo podejmie się wyznaczanej mu roli, dowodzą jasno, że w gruncie rzeczy grupy najmickie myślą tutaj o przejściowej dyktaturze klasowej nad włościaństwem i że im chodzi jedynie o zyskanie zaufania u tych ostatnich. Na tem istotnie polega cała polityka „stanu czwartego“ względem obcych mu dążnościami grup ludowych.

Zatrzymaliśmy się nad tą sprawą pobieżnie, naszkicowawszy tylko ogólne dążności. Uczyniliśmy to w celu, aby czytelnik mógł ocenić tem słuszniej te dążenia i próby, które spostrzedz może w życiu publicznem Austryi i Niemiec. Przedstawialiśmy zapatrywanie, które widzi w drobnej osadzie podporę zachowawczości społeczno-ekonomicznej. Nienależy mniemać, iż ów pogląd jest jakimś wyjątkowym. Weźmy świeże prace dwóch urzędowych ekonomistów niemieckich, Miaskowskiego i Conrada, a spotkamy się z temsamem zdaniem. Pierwszy, specyalista w kwestyi rolnej i jeden z tych filarów niemieckiej ekonomii urzędowej, których wskazówkami kierują się władze najwyższe, wprost mówi z powodu dążeń rządu angielskiego. „Rozwiązanie kwestyi polega na tem, aby bez wstrząśnień uskutecznić to przejście własności z jednych rąk do drugich. Rzecz to najważniejsza, aby pewna część ludności rolnej stała się posiadaczką ziemi, a jednocześnie, aby nie sformułowano podobnych wymagań w innych dziedzinach ekonomicznych. A jest to trudnem w chwili obecnej, kiedy istniejące prawo wraz z ideją własności słabo trzymają się w sumieniu pewnej części ludzi i gdzie niema wyższej instancyi, panującej nad walką klasową... Taka własność stałaby się podwaliną porządku.“ Conrad wypowiada się jaśniej i bardziej stanowczo. „Stan włościański był zawsze najbardziej zachowawczym żywiołem w państwie, który uporczywie trzyma się tradycyi i walczy za nią z największą energią. Poczucie własności, miłość miejsca rodzinnego czynią zeń naturalnego wroga dla wszystkich miejskich idej przewrotowych i najsilniejszą tamę przeciw dążeniom społeczno-demokratycznym. Z zupełną słusznością nazwano go najtrwalszą podporą zdrowego ustroju państwowego, znaczenie zaś tego stanu potężnieje coraz bardziej z wzrastaniem miast wielkich.“ Przytoczyliśmy dwa suche ustępy książkowe; ktoś mógłby je położyć na karb teoretyzujących profesorów, gdyby nie to, że takie jest zdanie, zaczerpnięte z długiej praktyki politycznej, wszystkich partyj i działaczów społeczno-zachowawczych, którzy dobrze uświadamiają sobie, że powyżej naszkicowane plany tegoczesnej demokracyi najmickiej, dzięki samym warunkom topograficznym rozmieszczenia ludności, nie wydrą się po za mury miejskie, a przynajmniej rozpostrą się nielicznie, póki ona sama nie zawładnie steram rządu. Dość wziąć jakiś *Vaterland*, jakąś *Reforme sociale*, aby spotkać się na każdym kroku z takiem zapatrywaniem. Z powodu wiosennych projektów Wilhelma II w sejmie pruskim, mianowicie stworzenia drobnych czynszowników na gruntach państwowych niemieckich, to ostatnie czasopismo wystąpiło z artykułem, będącym jedynie przeróbką poglądów, które poznaliśmy u Conrada, a ogłaszającym młodego cesarza za upragnionego Mojżesza zachowawców społecznych. Wreszcie, najjaśniej wypowiedziano takie same stanowisko w reformach rolnych, projektowanych w Austryi i Niemczech. Między innemi *Réforme sociale* za-

---

Gdyśmy jednak zostali sami, a ja ponowiłem moją propozycyę, znowu była niezadowolona.

— Dajże pokój! jesteśmy jeszcze za młodzi, aby się już wyrzec świata i wszystkich przyjemności. A ja — tak tylko obowiązki rodziców pojmuję. Gdybym miała dziecko, miałabym cel życia, a więc porzuciłabym wszystkie inne, oddałabym mu spokój moich dni i nocy. Chcesz, wezmę Władysia, bo i mnie samej on się bardzo podoba, ale poczekaj, niechże przedtem jeszcze świata trochę użyję.

Zamilkłem, ucieszony już i tą na przyszłość obietnicą. I odtąd długo nie wspominałem o Władku. Sam tylko coraz częściej do Gzowa jeździłem, witany za każdym razem serdeczniej. Snać myśl wyrażona na chrzcinach nie opuszczała dotąd krewniaka. Nie dotykaliśmy jej wprawdzie, ale z całego zachowania się mego względem malca mógł pomyślne dla siebie wyciągać wnioski. Chłopiec nawet poznawał mnie już teraz. Nikt bo się nim tak nie zajmował, nikt tak długo nie gawędził, ani tak chętnie słuchał, jak stryjaszek.

Ciężka choroba rozdzieliła mnie z nim na długo. Zmuszony szukać pod obcem niebem wzmocnienia sił nadwątlonych, wyjechałem z kraju na rok cały. Myśl o dziecku nie opuszczała mnie jednakże. Otwarcie już teraz snułem przed żoną obrazy tej pożądanej przyszłości — we troje. Ona nie chciała wyrzec jeszcze stanowczej obietnicy, przyrzekłem nawet, że na jej własną, niewymuszoną zgodę zaczekam, energiczne jednak skupywanie książek pedagogiczno-hygienicznych kazało mi oczekiwać niedalekiego przyzwolenia.

Wróciłem do krajn pełen najlepszych nadziei i, nie odpoczywając prawie, wybrałem się do Gzowa.

Szybko załatwiwszy się z powitalnemi zapytaniami rodziców, zwróciłem rozmowę na dziecko.

— Zdrów jak ryba — odpowiedziano mi z uśmiechem — bawi się w ogrodzie, nie zapomniał stryjaszka, bośmy mu często pokazywali twoją fotografię: nazywa cię „stryjaskiem z Walsawy...“

Wyszedłem go szukać. Przed gankiem siedział na piasku, przesypując go rączkami do jakiejś zardzewiałej blaszanej zabawki. Innego oczekiwałem wrażenia. Władyś tłusty był w istocie, ale tą chorobliwą tłustością skrofulicznego dziecka; rumieńce lekko tylko różowiły mu buzię, a co najgorsza — główkę miał jakąś dużą, czego u niego dawniej nie spostrzegałem. Gdy zaś kazano mu przywitać stryjaszka, podniosł się z trudnością i zauważyłem, że nóżki, za krótkie do całego korpusu, stawia krzywo jakoś i chwiejnie.

— Ależ co jemu jest! — zawołałem, nie mogąc wobec matki ukryć przykrego wrażenia. Co jemu jest? Czy wzywaliście lekarza?

— Et, co tam za choroba, — odpowiedział — do wesela nie zostanie ni znaku! Manio i Janek przechodzili toż samo, a patrz jak dziś wywijają!

Zajęta drobnemi sprawami domowemi i sklopotana losem swoich oddalonych dzieciaków nie miała kiedy przejmować się chorobą najmłodszego, zdając więc wszystko na wolę boską, powtarzała swoje ulubione „jakoś to będzie!..“

Mnie jednak trudno się było z tą niespodzianą rzeczywistością oswoić. Tegoż wieczora, przywiozłem z sąsiedniego miasteczka, lekarza, kolegę, — domagając się stanowczego orzeczenia.

— Cóż chcesz — powiedział spojrzawszy na dziecko — wielka głowa, nóżki łukowato skrzywione, niekształtność w budowie klatki piersiowej, to *rachitis*, nieodwolalnie. Poprawieniem warunków hygienicznych najlepiej leczyć się daje. Ale cóż, wobec niemożności opuszczenia tej wilgotnej dziury... — Chciał mówić coś jeszcze, ale go razem ze mną pociągnięto do przygotowanego tymczasem preferansa...

Jakże mi się grać nie chciało! Myśli zajął mi jedynie ten biedny, chory, dzieciak. Z jakąż ochotą uniósłbym go z sobą zaraz,

mieściła w danej kwestyi artykuł p. Pobiedonoscewa, odznaczający się równie głębokiem zrozumieniem warunków zachowawczości społecznej, a traktujący o *home-steadach*. Wszędzie widnieje pojęcie, że widnokręgi społeczne, stwarzane przez drobną osadę, jeśli tylko ona zapewnia pewien dobrobyt materyalny swoim mieszkańcom wraz z dostateczną nadzieją ustalonego jutra, a powściąga ruchliwość i wszelką wymianę, sprzyjają jaknajmocniej wszystkim wymaganiom konserwatywnym. W projektowane reformy, o ile są jeszcze dalekie od urzeczywistnienia, nie będziemy teraz zapuszczali się, zauważając jedynie, że działalność w danym kierunku, teoretyczna i praktyczna, jest rozwijana silnie w Niemczech i Austryi, we Francyi i Włoszech, z całą systematycznością i świadomością celu. Idzie tutaj o powstrzymanie rozwoju kapitalizmu z jego dziecięciem, rozkładowym społeczno-demokratyzmem, o stworzenie Wandei przekonań i Wandei własności, o którą rozbiłyby się wszelkie miotania, zrodzone na gruncie wielkich miast i wielkiego przemysłu, o wywołanie krucyaty wiejskiej przeciw miastom, która „pozostawiłaby przyszłym wiekom zagadkę odszukiwania, gdzie wznosiło się kiedyś jakieś miasto.“ W Tyrolu krążą wprost broszurki z taką treścią...

Zatrzymamy się bliżej jedynie nad zamiarami Wilhelma II, gdyż są najbliższe urzeczywistnienia. Cokolwiekbądź możnaby o nim powiedzieć, trzeba przyznać, że należy on już dzisiaj do najwybitniejszych działaczów zachowawczych, t. j. głęboko rozumiejących, dokąd dąży tegoczesny rozwój społeczny i za pomocą jakich środków można go powstrzymać. Zresztą same ideje jego są stare, jak świat; są to sławne *idées napoléoniennes*, z któremi kiedyś wystąpił Napoleon III, zabierający się do zamachu. Silny rząd po nad klasami, kokietujący najmitów miejskich i trzymający na obroży żywioły wiejskie, aby je wypuścić na miasto, taką jest treść owych idej. Podobną też jest zawartość idej Wilhelmowskich, z tą wszakże różnicą, że zamiast *souteneura* który owładnął sterem państwowym, aby tutaj wprowadzić wszystkie zwyczaje i umizgi kokotki, mamy doczynienia z człowiekiem, który oddycha wsteczną, lecz w każdym razie całą siłą moralną jeszcze nie zwyrodniałego junkierstwa, do rzeczy bierze się z dobrą wiarą, wysuwając zamiast przekupstwa uczciwość feodalną i zamiast rzezimieszków i bankrutów — postacie zachowawcze, lecz nieugięte i nie skalane tymi brudami, z których wyleźli Morny i Persigny. Zresztą doradcami jego są rozumiejący się na rzeczy profesorowie, a celem nie kokietowanie, lecz oparcie reform na stałym gruncie. Naturalnie, znaczenie dziejowe samych idej na tem nie wiele zyskuje, prócz jednego, że będą one nietylko gołosłownym frazesem, lecz przejdą w życie. Sławne dekrety były próbą złamania wśród robotników prądów przewrotowych. Lecz o ile można sądzić, główne starania młodego cesarza są skierowane do utrwalenia stanu włościańskiego. W mowie swej w Królewcu jasno zaznaczył to stanowisko. „Niestety, można zaznaczyć pewne prądy, które usiłują zmniejszyć znaczenie przypisywane rolnictwu i ludności wiejskiej. Lecz z przyjemnością muszę zaznaczyć przełom w tym kierunku... Silna organizacya chłopstwa zasługuje na szczere zajęcie się nią. Uczynię to z gorącem sercem. Cierpliwości tylko!“ Zresztą, za zgodą cesarza przed feryami parlamentu w sejmie kilku wielkich właścicieli ziemskich, w tej liczbie Moltke, wniosło projekt zaprowadzenia w całych Niemczech pewnej ustawy, przypominającej *Home-steady* amerykańskie. Oto jego zarys.

Każda osoba w wieku przynajmniej 24 lat a będąca poddanym niemieckim ma prawo do zapisania swojego kawałka ziemi z chatą jako *Heimstätte*, t. j. jako majątek, nieulegający wywłaszczeniu drogą prawną za długi. Wielkość tego Heimstatte nie może przekraczać rozmiarów zwykłej osady włościańskiej w danej okolicy, i stosownie do zwyczajów miejscowości jest różna w odmiennych prowincyach. W każdym jednak razie winna być o tyle znaczną, aby wytwarzać wszystko, czego wymaga utrzymanie pojedyńczej rodziny i posiadać, co potrzeba do rocznej produkcyi. W chwili zapisywania Heimstätte nie może być obciążona długami wyżej połowy swej dochodowej wartości, dług zaś uiszczany ratami rocznemi. Zapisana Heimstatte nie może być obdłużona powyżej trzeciej części wartości i to tylko w przypadkach nieurodzaju, spłaty spadkobiercom i niezbędnych ulepszeń; dług będzie spłacany przez lat 15. Heimstatte można sprzedać przez egzekucyę tylko za dług, który zaciągniono jeszcze przed zapisaniem i tylko podczas 3 pierwszych lat; nie wolno jej dzielić, cała i niepodzielna przechodzi w ręce jednego spadkobiercy. Nikt nie może w swem ręku połączyć kilku takich osad.

Projekt ten zresztą jest tylko wstępem do do dalszych prawdopodobnie reform i projektów. Przerzucając literaturę bieżącą w kierunku społeczno-zachowawczym, widzimy rozwijające się plany. Minoraty chłopskie, niesprzedawane za długi i z ograniczonem prawem wychodzenia z rąk rodziny, a obdłużone do pewnego tylko stopnia, ze spłatą ratami, rozsadzenie rolnego proletaryatu jako czynszowników drobnych na ziemiach państwowych dla przeciwwagi skupieniom ludności miejskiej, powstrzymywanie rozwoju miast, ograniczanie praw przesiedlania i przenoszenia z miejsca na miejsce, słowem, stworzenie osad naturalnych, opartych na pewnym dobrobycie materyalnym, lecz przez samą swoją naturę ekonomiczną bronionych od napływu idej wolnomyślnych—tak przedstawia się całokształt dążeń.

Można śmiało powiedzieć, że drobna osada włościańska stała się lub raczej staje główną areną tegoczesnej strategiki społecznej. Z tego powodu czytelnik przebaczy nam liczne odchylenia w toku artykułu, wyjaśniające sprawy. Zresztą znaczenie tego urządzenia pojmują jedynie krańcowe: zachowawcze i rozwojowe prądy społeczne. Liberalizm i drobnomieszczaństwo dotychczas nie zdało sobie sprawy. Pierwsze zupełnie straciło głowę, drugiemu zaś brak zrozumienia rzeczy, nawet jeśli w ideałach przybiera zabarwienie właściwe demokratyzmom, zrodzonym na gruncie wielkiego przemysłu. Drobno-mieszczański demokratyzm, wychowany w doktrynerstwie tradycyjnym Żyrondystów, nie może pojąć, że dzisiejsza centralizacya polityczna jest nieodłącznym środkiem walki, że dyktatura jest jedynie możliwą postawą, co przewybornie rozumieją zachowawcy, stwarzając ideję silnego rządu. W walce przeciwko armatom chciałby wychodzić z starodawną halabardą, powiewając „jednolitym ludem“ jako chorągwią, a zasadę swej działalności streszczając w słowach: „jeśli ktoś jest świnią, jakie mam prawo tego nie pozwalać?“ Podobnie nie może on zrozumieć dziejowej roli drobnej osady i nawet przykrywając się hasłami najmiękimi, walczy tylko za *idées napoléoniennes* w najnowszym ich przyodziewku.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

APOTEOZA CZY SATYRA?

Marya Szeliga, *Na przebój*, Kraków, 1889.

W powieści, której tytuł powyżej zaznaczyliśmy, pani Szeliga, nadzwyczaj niefor-

bez chwili namysłu, do swego suchego, wygodnego mieszkania, pomiędzy lekarzy i najtkliwszą opiekę!

A jednak — przyrzekłem żonie że jej go nie narzucę, — a tak ceniłem spokój domowy!..

Poprzestałem więc na częstszem odwiedzaniu Gzowa, na zwożeniu potrzebnych dla dziecka lekarstw, zajmujących zabawek. Godziny całe spędzając z nim niezaw ogrodzie, okłamywałem samego siebie każąc mu prosto stawiać owe nieszczęśliwe nóżki, i przywiązywałem się coraz więcej.

A i on, już się kochać nauczył swego „stryjaszka z Warszawy.“ Jakże się cieszył moim każdym przyjazdem, jak silnie drobne te, małe rączęta nachylały mnie ku wyciągniętej do pocałunku buzi, jak czule obejmowały mnie za szyję, ściskając „mocno, mocno, z calich sił!..“

Wobec mej prośby i uśmiechu nie było złego lekarstwa ani przykrej kąpieli, bo Władyś stryjaszkowi niczego nie odmówił. Gdy wspomnę, jak instynktowo przywiązał się do mnie i jak serdecznie go pokochałem, niepodobnem wydaje mi się, żeśmy byli z sobą tak krótko!..

Pół roku przeszło bez zmiany.

Nie pomnę dnia, w którym niespodziewanie przybywszy do Gzowa, zastałem Władysia w gorączce. Wszyscy już teraz otaczali jego łóżeczko. Wszyscy byli na jego usługi. Ale on już nie gawędził ani pytał się o nic. Rączki ułożył pod główkę, pod tę dużą, nieproporcyonalną główkę skrofulicznego dziecka i wzdychał ciężko od czasu do czasu. Nigdy nie zapomnę tych jego westchnień przyciszonych, a tak bolesnych. Rwało mi się serce z bólu. Ta mała, niewinna istota, jakiem prawem cierpiała tyle?..

— Władeczku, stryjaszek przyjechał, stryjaszek z Warszawy — zagadnęła go płacząca matka.

— Nie, nie, — odpowiedział machinalnie, nie chcąc spojrzeć w moją stronę. Po chwili wreszcie, nie podnosząc przymrużonych powiek: „pocałuj stryjaszku,“ wyszeptał. A gdy spełniłem czego żądał: „pocałuj jeszcze raz“ powtórzył.

I zamknął półotwarte na chwilę oczęta, których nie oglądałem już więcej. Popadł odtąd w jakiś ten ciężki, zwykły ponoć objaw zapalenia mózgu na które go leczono. Zimne, lodowe okłady nie przynosiły już ulgi. Gorączka się wzmogła.

Nad ranem — trzymając wychudłą rączkę, poczułem uciekające z niej życie i zapłakałem głośno nad wszystkiemi mojemi marzeniami. Gdybym go był zabrał do siebie! Troskliwa opieka powołałaby go z pewnością do zdrowia, przed tą zabójczą chorobą, a nim dała syna którego już teraz jak własnego kochałem.

Miałbym dla kogo żyć, dla kogo pracować, komu przekazać moje mienie i ideały.

To stygnące ciałko było mi wyrzutem słabości wobec pozyskanie szczęścia za którem goniłem.

Długo siedziałem przy niem, wśród łkań matki i piastunki.

Z pogrzebu uciekłem. Nie mógłbym patrzeć na oddanie ziemi tego, com zdążył tak ukochać... niedołężnie...

* * *

Zgnębiony powróciłem do domu. Na wstępie rzuciła mi się na szyję żona i nie dając dojść do słowa: „No a gdzie Władyś?“ — wołała. Jestem pewna żeś go już tym razem zabrał z sobą! Nie? — jaka szkoda. Oczekiwałam tej niespodzianki. Śniły mi się dziś takie piękne dzieci... Gdybyś mi był go gwałtem narzucił, już bym się z nim nie rozstała. Że też ty się nigdy na energię nie zdobędziesz!..

. . . .

W. S.

tunna obrończyni praw płci pięknej, stara się dać apoteozę wyższego wykształcenia dziewcząt, w rzeczywistości zaś daje nam satyrę, która wywołała protest i oburzenie ze strony bardziej myślących studentek. Dwudziestoośmioletnia Natalia Durmuntówna, której brak posagu nie pozwolił zaznać szczęścia „ogniska domowego,“ bezmyślna, mająca głowę wypchaną romansidłami, sarkająca na twardość serc męzkiej połowy rodu ludzkiego, udaje się do lasu na przechadzkę, w nadziei pewnie, iż przypadek podsunie jej zamożnego młodzieńca. W lesie spostrzegła jasno-zieloną blaszankę, a wkrótce i właścicielkę jej, Esterę Weissblatt, studentkę szkoły medycznej w Paryżu. Wszczyna się rozmowa, z której oprócz wielu innych rzeczy dowiadujemy się, iż zagranicą narzeczonego z łatwością znaleźć można. Ona sama już upolowała sobie aż „internata.“ Przed Natalką „nowe, świetlane jakieś blaski“ po tej rozmowie się ukazują.

Sprawia to wrażenie, jakoby pociągnięta przykładem praktycznej Estery postanowiła także udać się do tej nowożytnej Arkadyi w pogoni za młodzieńcem o szlachetnej duszy i suto wypchanej kieszeni. Wprawdzie p. Szeliga stara się nas upewnić, że Durmontównę kierowała w danym razie żądza nauki i poświęcenia dla cierpień bliźniego, ale trudno przypuścić, aby namiętność do nauki mogła się naraz zrodzić w duszy osóbki, która w żaden sposób nie może pojąć znaczenia jasno-zielonej blaszanki, zawieszonej u boku Estery, a chęć pracy i poświęcenia — w duszy istoty, wychowanej w szkole egoizmu, zimnej i niewidzącej w życiu nic, prócz upragnionego celu: męża, męża, męża! Utwierdza nas w tem przekonaniu i ta okoliczność, iż, w kilka dni po rozmowie z Esterą, będąc *na polowaniu* u sąsiada Ottona, zapędów swych matrymonialnych bynajmniej nie porzuciła, a nawet przychylnem uszkiem chwytała wyznanie wiejskich Don-Juanów; przekonała się tylko ostatecznie, iż męża w żaden sposób *upolować* nie można. Następnego więc dnia, spotkawszy ponownie Esterę, odzywa się do niej namiętnie:

„Och, panno Estero, ratuj mnie, ratuj! Natchnij mnie wiarą, iż mogę się jeszcze na coś przydać na świecie, bo inaczej ciężka moja dola!“ Estera uspakaja ją kilku komunałami, wśród których znowu znajdujemy zapewnienie, iż „niemal każda ze studentek jest narzeczoną wprzódy, nim otrzyma dyplom doktorski... i najczęściej z kolegą lub „internem“ swego oddziału.“ Na co Dormuntówna ze skromnością, właściwą pannom dobrze wychowanym, odpowiada, iż „gdyby dosięgła tak szczytnego celu, żeby zostać doktorem, nigdyby za mąż nie wyszła!“ Praktyczna, jak zwykle, Estera, żartobliwie — właściwym byłby tu śmiech ironiczny — woła: „Nie trzeba za nic ręczyć!“ W dziwnej sprzeczności z powyższem oświadczeniem Natalki znajduje się też następująca rozmowa, która odbyła się tegoż dnia. Stary Durmunt tak się odzywa. „Juźci panna stworzona, iżby za mąż poszła...“ „Ja się też wcale zamążpójścia nie wyrzekam“ — odparła Estera. „Narzeczonego ma!“ — woła tryumfująca Natalka. Gdybyśmy wszakże wraz z p. Szeligą uwierzyli, iż w duszy jej bohaterki odbył się nieprawdopodobny przewrót psychologiczny, iż naraz zechciała stać się kapłanką wiedzy i poświęcenia, nie zaś „ogniska domowego,“ wówczas pobudki jej kroku wcale nie lepiej się przedstawiają. Oświadczając ojcu w dzień po *polowaniu* o chęci swej wyjazdu na medycynę, podaje za powód: „Ojcze, ja już jestem niemal starą panną: wczoraj przekonałam się o tem...“

W innem miejscu niejaki Witołdowicz, jeszcze jeden ideał p. Szeligi, z którym zaraz bliżej się poznamy, twierdzi, iż nie poleca bynajmniej nauk wszystkim pannom, tj. młodym, ładnym, a głównie posażnym, te, proszę was, i bez medycyny się obejdą. „Ale są takie, co im żda się wprost sama natura wytknęła drogę ułatwioną położeniem i przeznaczeniem. Są córki obywatelskie, więdniejące jak kwiateczki w cieniu...“ „Którym się więdnąć sprzykrzyło“ — wsunęła wesoło Natalka. Każdą ideę można spłaszczyć i sponiewierać, ale trudno to zrobić w znaczniejszym stopniu, niż p. Szeliga uczyniła. A więc do nauki mają się brać albo bezposażne i stare panny, które straciły bezpowrotnie nadzieję zamążpójścia w kraju i na nic innego nie są zdolne, albo też w najlepszym razie istoty zepsute, upadłe, jak p. Helena. Ani jednego typu młodej dziewczyny, kierowanej przekonaniem, autorka nam nie dała, przedstawiła tylko geszefciarki, jak Estera, które w medycynie szukają zyskownej karyery, albo też rozbitków w spódnicach, którzy osiedli na mieliznie brudu życiowego i w „nauce“ chcą znaleźć ostatnią przystań.

Ale wróćmy do naszej smutnej bohaterki. W ciągu kilku lat, które na medycynie spędziła, przemieniła się ze „starej pannicy na powabną, w pełnem znaczeniu tego słowa, kobietę,“ skutkiem wewnętrznego zadowolenia, jakie medycyna daje. Zczasem kobiety zamiast do Lourdes, jeździć będą do Paryża krajać trupy: siwowłose kobiety zamieniają się pod wpływem dobroczynnej tej pracy na kwitnące dziewice.

Wbrew obietnicom Estery nie znalazła ona wprawdzie ani studenta, ani interna, ale męża znalazła. Był nim Witołdowicz, całujący panny po rączkach i wielki zwolennik nietylko medycyny dla kobiet, ale „wielkanocnych ryb i klusek z makiem.“ Człowiek zamożny i podeszłego wieku, który podług przysłowia, że „w starym piecu djabeł pali,“ zapłonął „wiekuistą miłością“ do odmłodzonej w potokach medycyny bohaterki. Przyznaje się on wprawdzie kilkakrotnie, iż ma już porządne lata, ale Natalka zapewnia go, iż dla małżeństwa nigdy za starym być nie można. Koniec końców okazuje się, iż jeżeli panna bez posagu męża dostać nie może, to za to doktór-kobieta zawsze go znajdzie i to z posagiem. P. Witołdowicz zakupił folwark swej przyszłej żonie, bo „nuż takiego jak on starego dęba grom uderzy“ i starać się będzie o to, by „jej było wygodnie“; przyjeżdżając zaś do Paryża, zawsze przywoził narzeczonej prezenty, ostatnim razem nawet trochę siana do „stołu wigilijnego;“ siana tego mogłaby bohaterska para śmiało skosztować wraz z całem zebraniem u Natalki wolnomyślnem towarzystwem, które śpiewa.

A teraz powiedzmy jeszcze słów kilka o tem towarzystwie. Autorka odkrywa przed nami porządne błotko, w którem pływają karyerowicze w surdutach i spódnicach, „dzielne chłopcy,“ których dzielność polega na tańczeniu mazura w każdej porze dnia i nocy, bezmyślne papugi „kujące“ od rana do wieczora osteologię, którą powtarzają nawet zakochane pary, trzymając się za ręce i spoglądając sobie miłośnie w oczy. Co za rozczulająca sielanka: para gołąbków gruchających sobie ustępy z osteologii! Ale oto główniejsze osobistości, występujące obok wyżej scharakteryzowanej bohaterki: Estera Weissblatt, która nie chciała w kraju wyjść za myszurysa, by poślubić w Paryżu jakiegoś głupkowatego doktora, która mówi wciąż o poświęceniu dla ludu, a jednak pobudzona przez „zobowiązania sercowe,“ porzuca kraj, aby pozostać zupełnie bezużytecznym pasorzytem w salonach paryskich, która prawi o samodzielności i odrazu znajduje się „na utrzymaniu“ swego męża, sprawiającego jej sutą wyprawę. Geszeft ten nawet puklerzem nauki osłonięty nie został. Mądra Esterka ma bardzo praktyczne poglądy na naukę. „Ce pauvre Berrichon,“ mówili francuzi, spoglądając na jej męża: rzeczywiście wart on politowania. I Esterka jest dla p. Szeligi „dzielna, mężna i wzór.“

A oto macie: Adelę Zdziebkowską, „śmiałą, zręczną, młodą, która nie kryła się wcale z zamiarem wydania się za mąż doskonale i krążyły wieści, że uniwersytet był dla niej taką samą areną popisu wdzięków, jak przed paroma laty warszawskie salony.“ Dalej macie jakąś idyotyczną litwineczkę, paplającą bzdurstwa wszelkiego rodzaju, pannę Maryę Pszenicką, odznaczającą się białym haftowanym fartuszkiem, długim noskiem i kurzym umysłem. Wszystkie te dwunożne stworzenia noszą ku wielkiemu zadowoleniu autorki grzywki i tiurniury, „jak tego wymaga obyczaj mody,“ a nawet zapraszane bywają do „domów familijnych“ na herbatkę, co już p. Szeligę w ostateczny zachwyt wprawia: „taka bowiem jest zasługa i pożytek pospolitości.“

Dodajmy, iż bohaterki te po całych dniach „kują“ tylko osteologię, a jeżeli która jeszcze czemś innem się zajmuje, jeżeli jej medycyna nie wystarcza, to p. Szeliga prędko nas uspokaja, iż wiedza „specyalna“ wkrótce jej „te głupstwa wybije z głowy.“ To też studentki p. Sz. o niczem nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Ale za to są zadowolone nad wyraz i wszystkie „mają odblask pogody wewnętrznej...“ Doprawdy nie rozumiem tego cielęcego zadowolenia. Wszak medycyna nie zawsze dziś zapewnia nawet byt materyalny, a cóż dopiero mówić o możności zrobienia czegoś tą drogą dla bliźnich. Wszak między poświęceniem kobiety a ludem stają rozmaite przeszkody. Głębsze wniknięcie w swe położenie wskazałoby na pewne anomalie społeczne, dałoby szerszy pogląd. Ale bohaterki p. Sz. mają głowy tylko od grzywek.

Jeszcze gorzej przedstawia się męzka połowa kolonii. Oto Honorat Wawelski, „trochę matador i zawadyaka,“ któremu, jak autorka z pobłażliwości powiada — „resztka dumy szlacheckiej kręciła w głowie,“ z różowiejącym noskiem, za którym wszystkie panie z kolonii przepadały. Dziwny gust do „różowiejącego“ noska! Dalej macie „niezaradnego, cichego i wybitnego“ niedołęgę, Welinowicza, mizeraka Butterbrodka, wraz ze swą Birnbaumówką dążący „spokojnemi oczyma“ do „upragnionego celu,“ którym ma być dobrobyt. Dalej mąż „bladej kobieciny,“ która, przyjechawszy w zamiarze uczenia się, marzy wraz z nim o polepszeniu „bytu finansowego.“

Autorka nie przedstawiła żadnej osobistości o szerszych dążeniach, a jeżeli napomyka o czemś podobnem, wprowadza jakiegoś idyotę „o bujnym włosie w nieładzie, cedzącego słówka zwolna i z przesadą,“ który „trawiony gorączką ambicyi, chce się wznieść ponad Maraty i Napoleony.“

Oto macie galeryę „bohaterskich dziewcząt i dzielnych chłopców“!

Sądzę, iż autorka wcale nie zna sfery, którą opisuje. Dlatego obraz jej wypadł tak nieponętnie. W rzeczywistości studenterya stoi daleko wyżej pod względem umysłowego i społecznego rozwoju, niż to się autorce wydaje. Są dziewczęta, któreby mogły wyjść w kraju za mąż, a jednak wolą jechać za granicę, pobudzane czy to żądzą wiedzy, czy też niezadowoleniem. Istnienia takich dziewcząt p. Szeliga nawet nie podejrzywa. Wybrała sobie ona za temat błotnistą kępkę, która mogła co najdalej służyć za temat do satyry, ale nigdy do apoteozy.

Leon Winiarski.

AŻ DWA...

Bellamy Edward. *W wieku XXI.* Spolszczył K. O. R. Kraków. Cena 5o kop,

W roku 2000 (Looking Backward. 2000 — 1887). Powieść. Tłómaczył z oryginału J. K. Potocki. Warszawa. Cena 75 kop.

Słynna książka Bellamy'ego doczekała się w polskim języku aż dwu i równocze-

snych przekładów. Ze względu na to, iż czytelnicy *Prawdy* w swoim czasie mieli już sposobność powziąć niejakie wyobrażenie o treści i znaczeniu tego utworu z artykułu p. Żywickiego (*Nationalist League Agitation*) oraz z urywków pomieszczonych w odcinku, poprzestaniemy na kilku uwagach, które nam nasunęło zestawienie ze sobą obu przekładów. Tłómaczenie p. J. K. Potockiego, dokonane gładko, odznacza się przedewszystkiem tem, iż z oryginałem pozostaje w najzupełniejszej zgodzie. Ani na chwilę tłómacz nie uczuł potrzeby jakichkolwiek amputacyj — zmian lub uszczupleń... Szło mu poprostu o dosłowność. Styl pozostał ten sam, nic z cech swoich nie uroniwszy, nawet utrzymały się okresy długie i ciężkie, jak pociągi towarowe.

Przekład K. O. R. ma inne cechy. Przedewszystkiem jest on nieco uszczuplony i stylowo zwięźlejszy. Brakuje w nim przedmowy od wydziału historycznego w uniwersytecie bostońskim z datą 26 grudnia 2000 roku oraz rozdziału, w którym bohater powieści wdaje się w refleksye. Brak również końcowego ustępu i rozdziału, w którym przewodnik bohatera, dr. Leete, wyjaśnia mu rolę partyj robotniczo-politycznych, jaką one, zdaniem jego, miały odegrać w sprawie przełomu społecznego. Z tym rozdziałem czytelnik traci możność poznania przekonań autora, mocno nacechowanych utopijnością Cabeta *et tutti quanti*, którzy się odwoływali nie do interesu klasowego, lecz do dobrych serc mieszczaństwa. Tłómacz zapewnia, iż wszystkie opuszczenia, razem wzięte, wyniosą około 12—17 str. — „uszczuplenie, ilościowo — nieznaczne, lecz jakościowo — pożyteczne“... *)

Zmiany, na które on sobie pozwolił, nie dotknęły w niczem ważniejszych miejsc powieści. Przybrała ona wprawdzie inną nieco postać, niż w oryginale, skutkiem tego, że społeczeństwo, umieszczone przez autora w wieku XXI, tłómacz przeniósł w sferę marzeń sennych bohatera — zasypia on, śni i budzi się w XIX, — stała się jednak przez to naturalniejszą. Bohater, zbudziwszy się ze snu hypnotycznego, pod wpływem czarodziejskiego marzenia czuje się radykalnie zmienionym uczuciowo i umysłowo i znowu wróciwszy na łono naszego stulecia, odwołuje się do dobrych serc oświeconego mieszczaństwa, lecz zostaje odepchnięty, wyszydzony i wyrzucony za drzwi. Taki koniec powieści jest bardziej zgodny z rzeczywistością i potęguje efekt społeczno-psychologiczny. A właśnie na tem się urywa wątek powieściowy w tłómaczeniu krakowskiem.

K. O. R. poszedł snać za przykładem tendencyjnych przeróbek zachodnio europejskich demokratów społecznych, którzy w nich uznali za stosowne dla swoich celów odwiać plewy od ziarna. Żałować tylko wypada, że nie dał poznać czytelnikom (choćby w dopiskach), tych pocisków krytycznych społecznego demokratyzmu, które zasłużenie dotknęły Bellamy'ego za tu i owdzie tułające się w jego książce filisterstwo. Dodać każe słuszność, że, co było godnego uwagi w ustępach opuszczonych, (porównanie dzisiejszego społeczeństwa do „koczobryka“ z pasażerami w nim i siłą pociągową ludzką przed nim, znajdujące się w wielosłownym I-ym rozdziale oryginału), streszczone zwięźle, znalazło swe miejsce w przedmowie.

Staranne pod innym względem wydanie krakowskie nie ustrzegło się kilku szpetnych błędów zecerskich: w przedmowie np. „Janżuł,“ znany ekonomista ruski, wystąpił jako *Janzut*, a „kazanie“ — przedzierzgnęło się w *karanie*; albo znów gdzieindziej, na str. 89, „Słoń“ (nazwa jadłodajni społeczeństwa wyśnionego) zmienił się w *Słońce*. Można się pocieszyć, że i to ostatnie ma plamy...

*) Sądzimy, że tu wkradła się omyłka zecerska — opuszczenia prawdopodobnie przekroczą liczbę 17 str. *Przyp. autora.*

Ubolewać by można, że, jak na nasze miernie rozwinięte czytelnictwo i słabe środki materyalne, pojawienie się aż dwóch przekładów tej samej książki — jest rozrzutnością nieopatrzną. Ale pocieszmy się. W książce Bellamy'ego drobna własność i wszystko, co z nią jest sprzężone, znika bez wieści i na zawsze, natomiast zaś idea t. z. „kraju-folwarku,“ wcielona na obszerną skalę w ustrój XXI w., zajmuje przodujące miejsce. Jakkolwiek tedy, ze względu na oszczędność, radzibyśmy widzieć usiłowania tłómaczów idące w kierunku rozbieżnym, to jednak, widząc taką uznania wartą zgodność p. Potockiego i wydawców z K. O. R. w wyborze książki poświęconej wcieleniu *właśnie* idei „kraju-folwarku,“ nie wahamy się zarówno obu przekładów polecić pamięci czytelników.

Zyg. Piet.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

VII.

Z „Anielką“ a głównie z „Placówką“ opuścił Prus niwę noweli, a wszedł na pole powieści, gdzie zamierzył sprobować swych sił w ramach dzieła obszerniejszego i napisał trzy tomową „Lalkę.“ Tworzył on ją i jednocześnie drukował (w *Kuryerze codziennym*) lat parę, a chociaż w wydaniu książkowem (1890) zatarł wiele śladów tej kawałkowej pracy, niektóre ze szkodą dla całości pozostały. Przeciwko takiemu sposobowi pisania, wywołanemu u nas rozrastaniem się dziennikarstwa, a praktykowanemu niemal powszechnie, występowano już nieraz z naganą lub żalem, a zawsze z dobrą racyą. Każdy autor tworzy częściami, ale nie utrwalając ich natychmiast drukiem, może później usuwać sprzeczności, poprawiać błędy, słowem dostrajać całość do jednego tonu i siły. Nadto, nieskrępowany koniecznością dostarczenia rękopisu z dnia na dzień, może wybierać sobie do pracy dnie stosowne, a omijać nieprzyjazne, wyzyskiwać chwile ochoty, zapału i zdrowia, a przepuszczać chwile przygnębienia, niechęci i choroby. Wprawdzie Prus nie dotrzymywał ściśle terminów, robił w drukowaniu „Lalki“ przerwy kilkodniowe, a nawet kilkomiesięczne, tak, że zrozpaczona redakcya musiała jego i siebie bronić od szturmu czytelników; ale nie zdołał zapobiedz, ujemnym skutkom tworzenia ułamkowego. Sprowadzała je zaś nietylko owa metoda, ale także natura jego talentu. Może najsłabszą jego stroną jest plan, układ, kompozycya, zwłaszcza o skali większej. Jest to widocznem, że Prus, rozpoczynając swą powieść, nie znał sam ani jej rozmiarów, ani całego wątku, ani wszystkich postaci i dopiero podczas pisania wysnuwał pomysły i wprowadzał figury. Czasem zdaje się, że w zakłopotaniu o dalszy ciąg chwyta z bieżącego potoku jakąś kwestyę i wplata ją w treść opowiadania, tak, że w niej odnaleźć można wszystkie ważniejsze przedmioty myśli, które przesunęły się przez pracę podczas paroletniego druku „Lalki.“ Te domieszki stanowią w niej żywioł społeczny i jak gdyby tendencyjny; natomiast nić główna zwija się z analiz psychologicznych. Chłopiec, służący w handlu win, Wokulski, ogarnięty pragnieniem wiedzy, pożera w wolnych chwilach książki, przygotowuje się do egzaminu i wstępuje do Szkoły Głównej, odurzony ciągle marzeniami o nowych wynalazkach. Ale gdy rzeczywistość potargała mu złudzenia i odarła ze skromnych zasobów, postanowił gonić szczęście po tej drodze, po której ono bieży — wszedł do handlu, gdzie naprzód zdobył i poślubił bogatą wdowę.

— „Wiem — rzekł do przyjaciela — że jestem świnia; ale jeszcze najmniejsza z tych, jakie tu u was cieszą się publicznym szacunkiem.“

Później objaśniał, że „sprzedał się nie dla zyskania majątku, ale z nędzy.“

Objąwszy wraz z żoną sklep galanteryjny, rozwinął jego obroty, do czego mu dopomogły zwłaszcza zawiązane stosunki z kupcami moskiewskimi. „My odpoczywaliśmy przynajmniej w święto — opowiada jego subjekt—podczas gdy on nieborak właśnie w święto od rana musiał brać żonę pod pachę i maszerować przed południem do kościoła, *) po południu z wizytami, wieczorem do teatru.“ Był małżonkiem dziwnie potulnym, niezdradzającym wcale przyszłego hartu. „Żona, dostrzegłszy, że między kundmankami trafiają się przystojne, cofnęła Stacha z sali frontowej za szafy i jeszcze kazała mu zrobić tam budkę, w której, siedząc jak dzikie zwierzę, prowadził księgi sklepowe.“ Po pięciu latach takiej doli stracił żonę, która zmarła „objadłszy się czegoś“ — według tomu I, czy też po wytarciu się jakimś odmładzającym „likworem“ — według II. Wokulski „po tem nieszczęściu milczał, ale jeszcze bardziej osowiał. Mając kilka tysięcy rubli dochodu, przestał zajmować się handlem, zerwał ze znajomymi i zagrzebał się w naukowych książkach.“ Pewnego dnia poszedł do teatru i wrócił odrodzony: „wyprostował się, oko nabrało blasku, głos siły.“ Ujrzał tam bowiem pannę Izabelę Łęcką, w której odrazu się rozkochał. Ponieważ należała ona do sfery arystokratycznej, więc Wokulski postanowił wypełnić istniejący między nimi przedział towarzyski pieniędzmi i w tym celu wyjechał do Bułgaryi, gdzie toczyła się wojna, dla zrobienia majątku na dostawach. Rzeczywiście w dwa lata zdobył „przeszło trzysta tysięcy rubli.“ Opowiadając o tem przyjacielowi, uspakaja słuszną jego obawę o czystość źródeł takiej sumy:

— „Nie bój się, grosz ten zarobiłem *uczciwie*, nawet ciężko, bardzo ciężko. Cały sekret polega na tem, żem miał bogatego wspólnika, (kupca moskiewskiego) i że kontentowałem się cztery i pięć razy mniejszym zyskiem, niż inni.“

Naturalnie, pomimo wszystkich zapewnień bohatera, czytelnicy powątpiewają ciągle o „uczciwości“ i „całości sekretu“ wypompowania tylu rubli w Bułgaryi; ale wreszcie sam on później rozdziera sobie złudzenie. „Zmieszałem się z ekonomicznymi szulerami, stawiałem na kartę pracę i życie, no... i wygrałem. Ja idealista, ja uczony, ja który przecie rozumiem, że pół miliona (łącznie ze sklepem) rubli człowiek nie mógłby wypracować przez całe życie, nawet przez trzy życia. A jedyną pociechą, jaką jeszcze wyniosłem z tej szulerki, jest pewność, żem nie kradł i nie oszukiwał (pociecha zwodna, bo musiał oszukiwać). Mówiąc prawdę, powinienbym ten wyszulerowany majątek zwrócić ogółowi.“ Nie ulega wszakże temu popędowi. Wprawdzie wspiera jakiegoś furmana i dróżnika, oddaje do Magdalenek i wprowadza na drogę cnoty upadłą kobietę, podobno pomaga studentom i rzemieślnikom, zawiązuje nawet jakąś dość fantastyczną „spółkę do handlu z cesarstwem,“ w której uczestniczą książęta i hrabiowie i która, dając dobre zyski, upada dzięki ich niedołęstwu; ale obywatelskie jego czyny albo są nikłe, albo też wypływają jedynie z chęci podobania się pannie Izabeli. Tej chęci, a właściwie manii, dogadza on, rzucając pieniądze wszędzie,

*) Gdy autor później potrzebował przedstawić swego bohatera twardszym, kazał mu być tylko dwa razy w kościele: „na ślubie raz, na pogrzebie żony drugi raz.“ Zaznaczamy tę sprzeczność jako jedną z wielu usterek, wciskających się zwykle przy tworzeniu równolegle z drukiem.

gdzie tylko spotka potrzebę lub kaprys ubóstwianej. Może to zaś czynić, gdyż niewyczerpanym upustem zlewają się na niego ciągle potoki rubli. Wyjeżdża np. raz do Moskwy i „nie wiadomo, co tam robi,“ dość że przywozi 70,000 rubli; wyjeżdża drugi raz dla uregulowania rachunków z dawnym spólnikiem, u którego już „ma z pół miliona rubli“; znajduje się w Paryżu, gdzie ten spólnik nabywa statki — i znowu z tej operacyi przypada Wokulskiemu „ogromny a najzupełniej legalny zysk.“ To też wygląda on czasem jak rozpruty worek pieniędzy, z którego one wylatują na bruk, a biegnąca za wozem gawiedź zbiera je skwapliwie. Wszystkie jednak garście złota, któremi obsypuje drogę spaceru przez życie panny Izabeli, nie otwierają mu jej serca. Wychowana w atmosferze zbytku i elegancyi, czuje odrazę do kupca; po stratach majątkowych ojca przyjemności bogactwa i pewne zrozumiałe dla niej zalety, jakie jej ofiaruje czuły natręt, przyciągają ją ku niemu na chwilę; ale szybko odchyla się ona w stronę innych wielbicieli, często zwykle bezwartościowych moralnie i umysłowo, ale jednogatunkowych. Głos wewnętrzny tłomaczy to Wokulskiemu dosadnie: „Najpiękniejszy lew jest wstrętnym dla krowy, albo orzeł dla gęsi... Unikaj zatem samic innego gatunku.“ On wszakże z uroku tej „samicy“ wyzwolić się nie może. Niezliczoną ilość razy uświadamia sobie swoją naiwność, jej niechęć, a nawet przewrotność, ale po każdym zawodzie i rozczarowaniu otacza się mgłą nowej iluzyi. Ten ruch wahadłowy jego serca w stronę niewiary lub nadziei, to ustawiczne przekonywanie się o obojętności lub obłudzie fanatycznie kochanej kobiety wraz z natychmiastową obroną jej postępowania — stanowią główną osnowę „Lalki,“ której akcya skutkiem tego kręci się jak fryga na jednem miejscu i nuży swą jednostajnością. Zmęczony taką kołowacizną miłosną czytelnik obrzydza sobie wreszcie nieuleczalnego maniaka, który okazując, a nawet popisując się hartem i energią w życiu, wobec kobiety próżnej, która go lekceważy i zaledwie pajęczą nicią zalotności trzyma, jest chorobliwie niedołężnym i niepoprawnym mazgajem. Gdy po długim szeregu zawodów, upokorzeń i jęków nareszcie odbiera sobie życie w ruinach zamku, uznajemy, że na śmierć i odpoczynek zasłużył, ale nie na żal, a tem mniej na cześć. Budzi on bowiem więcej współczucia, niż podziwu, którego doznajemy tylko wobec jego sztuki szybkiego mnożenia pieniędzy. Czy możliwym jest logicznie i życiowo taki człowiek z dwu różnorodnych połów sklejony? Wątpimy, chociaż on sam o sobie powiada: „We mnie jest dwu ludzi, jeden zupełnie rozsądny, drugi waryat.“ Rozsądek z waryactwem nieraz łączy się, ale chyba nigdy — praktyczność z idealizmem, energia ze słabością, twardość z miękkością, rozum z głupotą. Ten człowiek, który zaglądającą mu w oczy biedę odpędza ożenkiem z bogatą wdową, który jest wybornym kupcem, spekulantem, przedsiębiorcą, który w ciągu kilku lat z 30,000 rs. robi 600,000, krąży koło panny jak gimnazista, nie może się zdobyć na żadną stanowczość, rozgrzebuje ciągle myślą swoje miłosne żużle, zatapia ją w majaczeniach alchemika, a przytem ulega halucynacyom i napadom nerwowym. Wystawcie sobie tego dostawcę z wojny bułgarskiej, który na widok swej postaci, odbitej w lustrze... „zerwał się z łóżka, jego sobowtór się również szybko. Pobiegł do okna — tamten także. Otworzył gorączkowo walizkę, ażeby się przebrać — i tamten również zaczął przebierać się, widocznie z zamiarem wyjścia na miasto. Wokulski czuł, że musi uciec z tego pokoju.“ Tacy ludzie nie trudnią się dostawami wojskowemi, a w każdym razie nie zarabiają na nich.

Kreśląc pierwsze rysy charakteru Izabeli, Prus był pod natchnieniem szczęśliwego pomysłu, jeśli chciał przedstawić istotę delikatną, przesłoniętą od świata obłokami swojej sfery, zapatrzoną w blaski wywyższenia towarzyskiego, nieznającą padołu, niepojmującą życia, z natury dobrą i czułą, ale niezdolną ocenić Wokulskiego, pokochać mężczyznę innego „gatunku.“ Później wszakże zamienił ją na bezduszną „lalkę,“ która szuleruje oczami i ustami, prowadzi grę na obłudne słowa i pozory, podstępną i niesumienną. Od tej chwili bohaterka przestaje być interesującą i nową, a skutkiem tego nie usprawiedliwia już chronicznej choroby serca w swym dziwnie wytrwałym i zaślepionym wielbicielu.

Prus nie jest powieściopisarzem bohaterów wielkich, lecz małych, cichych i ukrytych. To też o ile chybia we wszystkich wysiłkach wypromowania Wokulskiego na charakter niezwykłej miary, pomimo że oblewa go ciągle deszczem złotym, każe mu ciągle „robić wrażenie,“ zginać najsztywniejsze karki arystokratów, zdobywać serca kobiet samym swoim widokiem i nawet „na ulicy być przedmiotem ogólnego zainteresowania,“ o tyle bez nadzwyczajnych środków, barwami zwykłej dobroduszności tworzy daleko prawdziwszą i sympatyczniejszą postać jego subjekta — Rzeckiego. Musiałby w tym starcu tkwić talent Prusa, ażeby on mógł tak pisać swój pamiętnik, przeplatający powieść, jak go z humorem napisał. Ale po za tem nadmiernem upośażeniem znajdujemy w nim dużo prawdy realnej, a nadewszystko zgodności cech. Dawny romantyk, marzyciel poddaje się niewolniczo urokowi swego przyjaciela i pryncypała, w którym domyśla się męża stanu. Kilkadziesiąt lat przepracował w jednym sklepie, zrósł się i zżył z nim, długie nawyknienia owinęły go płatami jak mumię, w skromności pragnień powiędły mu wszystkie uczucia osobiste, w słuchaniu cudzej woli stracił władzę rozumu — a gdy w Wokulskim zgasła pochodnia jego myśli, gdy nowonabywcy wyważyli go ze stanowiska w sklepie, umarł. Na zamykające się jego oczy nie padł ani jeden promień, tylko same mroki. Postać ta wystrzyżona z fantazyi, ale tętnami swego serca przypomina ziemię.

Za tą trójcą pierwszego planu „Lalki“ stoi liczna grupa figur podrzędnych, nieraz mistrzowsko naszkicowanych: pani Stawska, młoda wdowa zakochana w Wokulskim, Szlangbaum szaradzista, doktór Szuman, przepyszny okaz swojej (żydowskiej) rasy, arystokraci najrozmaitszych odmian, studenci, subjekci itd. Każda z tych figur rzucona jest na tło życiowe, znakomicie odtworzone. Pomysłowość fantazyi współzawodniczy z wiernością fotografii, a ponieważ Prus jest mistrzem szczegółów, więc w tych drobiazgach sypią mu się z pod pióra perły artyzmu, zwłaszcza gdy je nasączy humorem. Oto sylwetka fryzyera, który strzyże Wokulskiego, opowiada o zabawie na Saskiej Kępie:

„Pokłócili się w tańcu i — proszę sobie wyobrazić, że jeden, chcąc kopnąć drugiego w wystawę — uderzył w damę! Zrobił się hałas... pojedynek. Mnie naturalnie wybrali na sekundanta i właśnie byłem dziś w kłopocie, bom miał tylko jeden pistolet, kiedy, przed pół godziną, przychodzi do mnie obrażający i mówi, że nie głupi strzelać się i że obrażony może mu oddać — byle tylko raz. Główkę na prawo *s'il vous plait*. No, wie pan, byłem tak oburzony, że porwałem faceta za galeryjkę, kolanem w antresolę i—won za drzwi!.. Że też nigdy u pana dobrodzieja nie spostrzegłem ani śladu kobiety: przychodzą pewnie w rozmaitych godzinach, a oko panie, mam na te rzeczy... no! Pomimo to ani rąbka spódniczki, ani pantofelka, ani kawałka wstążki! A przecież nawet raz u jednego kanonika zdarzyło mi się widzieć gorset; prawda, że znalazł go na ulicy i właśnie chciał bezimiennie odesłać do redakcyi. A, panie, u oficerów, szczególniej zaś u huzarów! (Główkę na dół *s'il vous plait)* Czyste zatrzęsienie!“ itd.

Oto znowu Szlangbaum, który pożycza pieniędzy i układa szarady. Ma on wnuczka dziesięcioletniego, który po nim odziedziczył tę sztukę i zachwyca dziadka.

— „Niech no pan słucha — mówi stary — jaki on do mnie w tamten tydzień list napisał. Mój dziadku — on pisał, ten mały Michaś — ja potrzebuje takie szarade: *pierwsze* znaczy dół, *drugie* — przeczenie, *wszystko* razem kortowe odzienie. A jak dziadzio — on pisał, Michaś — zgadnie, to niech mi dziadzio przyśle sześć rubli na ten kortowy interes“ (spod-nie). Dziadzio się rozpłakał i posłał wnukowi — cztery ruble, ażeby go nauczyć oszczędności.

Podobnych scen charakterystycznych jest w „Lalce“ mnóstwo. Nie wiążą się one ściśle z osnową powieści, mogą być od niej odcięte, ale ją nadzwyczajnie urozmaicają i podtrzymują uwagę czytelnika, znużoną zbyt długo trwającym romansem miłosnym pary bohaterów głównych. Nie Wokulski z Izabelą, w dalszym ciągu przykuwają do tej książki, ale barwny i żywy kalejdoskop postaci, które autor ciągle przesuwa — studenci, wykręcający się od płacenia komornego, Geist nowoczesny alchemik, usiłujący wytworzyć metal lżejszy od powietrza, Ochocki rozmyślający o wynalazkach, dr. Szuman, zajęty badaniem włosów ludzkich i tłomaczący życie paradoksami itd. Ponieważ zaś Prus nie jest wielkim malarzem, ale nieporównanym rysownikiem szkiców, więc te jego drobne wizerunki i obrazki są prawie zawsze znakomite.

Ogarnijmy teraz wzrokiem „Lalkę“ jako całość i talent jej autora.

(D. n.)

J. K. GREGOROWICZ.

(Wspomnienie pośmiertne).

Zrobił wszystko, co mógł i do czego był zdolny, pracował niezmordowanie i uczciwie, a gdy siły wyczerpał w trudach i wieku, położył się do grobu, pozostawiwszy dobrą po sobie pamięć. Nazywał się właściwie Sołowjew, jak dziad jego malorusin, ale nazwisko to, publicznie nieznane, zamienił na szczątkowy przydomek rodziny, przybrawszy jako syn Grzegorza (Hrehora) inne — Gregorowicza. Ojciec jego był kupcem w Warszawie i Zgierzu, a następnie rolnikiem. Tego zawodu spróbował naprzód Jan w Zegrzu nad Narwią, gdzie osiadł na stu morgach jako czynszownik wieczysty. Zniszczony pogorzelą i klęskami, osiadł w Warszawie, zamieniwszy pług na pióro. „Obrazki wiejskie“ ujawniły w nim miłośnika i znawcę ludu, pomazanie na pisarza ludowego. Jednocześnie jako współpracownik, a później redaktor zajmował się sprawami rolniczemi. Przez lat kilka kierował *Gazetą codzienną*, po niej założył z Lewestamem *Wolne żarty*, a w r. 1860 nabył *Magazyn mód*, który przekształcił na *Tygodnik mód*, do śmierci zostający pod jego redakcyą. Uprawiał on rozmaite niwy literatury, powieściową i dramatyczną, głównie wszakże w dwóch kierunkach objawił zdolności i położył zasługi: jako pisarz dla dzieci oraz autor obrazków z życia ludu i dla ludu. Pierwsze czytywały chętnie jego *Przyjaciela dzieci*, drugi wiele zawdzięcza Jankowi z Bielca i Kazimierzowi Góralczykowi (jego pseudonymy), redaktorowi *Kmiotka* i *Zorzy*. Działalność jego nie była imponującą a talent potężnym, ale maluczcy winni mu dużo zacnych chęci i dobroczynnych wpływów. Dwa wieńce należą się jego trumnie: od dzieci i chłopów, których znał, kochał i oświecał, a słowa uznania i żalu od wszystkich świadków jego zacnej pracy.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dwa listy. — Odezwa p. G. Wiercieńskiego w sprawie niedoli ziemian. — Bezwładność wybranej instancyi i żądanego wiecu. — Rozszerzenie się zależności stosunków. — Badanie współzawodnictwa furmanów z kolejami żclaznemi. — Naturalny objaw. — Nowy cud świata czyli „Samson“ parowy. — Ostrożność nie zawadzi. — Pięćdziesięciolecie szkoły weterynaryjncj. — Usychanie ważnej gałęzi wiedzy. — Gaszony ogień. — P. J. Ochorowicz odcięty od praktyki lekarskiej. — Szkoda zdolności. — Szkice St. Witkiewicza. — Materyał naukowy w obrazach artystycznych.

Jednocześnie dwaj ludzie uczuli potrzebę publicznego przemówienia do ogółu: p. Tadeusz Pawlikowski doniósł, że zerwał układy z obecnym dyrektorem teatru krakowskiego, a p. Gustaw Wiercieński wezwał wszystkich, mogących zdobyć się na jakąś radę, ażeby ratowali ginących rolników. List pierwszego powtórzyły skwapliwie wszystkie pisma, bo dotyczył teatru. Przez pewien czas, gdzie rzuciłeś okiem w prasie, spotykałeś prześladujące cię echo: p. Tadeusz Pawlikowski oświadcza itd. Inaczej zachowano się względem listu p. Wiercieńskiego, który nie uderzał w naszą czułą strunę. My chętnie dogadzamy szlachcie, zabijamy jej na ofiarę (zaocznie) codzień paru żydów, chłopów i pisarzów gminnych; ale gdy ona zacznie wzdychać i pokazywać nam niedobory w swoich rachunkach, odsyłamy ją do *Gazety rolniczej*. Każda sprawa ekonomiczna jest dla nas, teatromanów i melomanów, śmiertelnie nudna, więc od niej uciekamy nawet wtedy, kiedy dotyczy naszych serdecznych przyjaciół. I panu Wiercieńskiemu pozwolono monologować w *Gazecie polskiej* przy akompaniamencie maleńkiego i ziewającego chóru. Czegóż on żąda? Ziemianie według niego stanęli nad przepaścią. Rok miniony przyniósł klęskę, obecny — ubogim plonem i jego taniością, wskutek podwyżki kursu rubla, grozi nową. Produkujemy głównie zboże, mamy go mało i musimy sprzedawać po nizkiej cenie. „Zachodzi przeto potrzeba myśleć o zagrożonym bycie naszym, o przewidywanym a tak rychło mogącym nastąpić upadku materyalnym. Obniżenie się wartości ziemi może dojść do niebywałych rozmiarów i pociągnąć za sobą wielkie straty lub upadek wielu instytucyj, a tem samem źle oddziałać na cały dobrobyt państwowy.“ Trzeba więc radzić. W tym celu autor stawia taki wniosek: „Aby Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, uznając ważność położenia, starało się wyjednać zezwolenie na odbycie w Warszawie specyalnej narady w gronie kilkunastu lub kilkudziesięciu wybranych i powołanych, a najwybitniejszych rolników dla zbadania środków, jakieby rolnictwu wogóle były niezbędnemi, a z możnością przedstawienia prac i konkluzyi do uwzględnienia rządu.“ Każda narada ludzi inteligentnych i doświadczonych nad wspólną niedolą jest pożądana i korzystna; nie przeczymy tedy, że ta mogłaby wydać jakiś owoc; ale jeżeli p. Wiercieński spodziewa się po niej środka skutecznego, któryby wyleczył rolnictwo nasze z niemocy i dał mu siły, to ulega wielkiemu złudzeniu. Naprzód bowiem nie jest to choroba miejscowa, lecz powszechna w świecie cywilizowanym. Sam autor przyznaje, że przesilenie rolnicze „dotknęło obecnie całą Europę, a nawet Amerykę“; czy więc ono może być zażegnane usiłowaniami jednego małego kraju, a nawet potężnego państwa? Łagodził je u nas nizki kurs waluty; czyż więc należy jego podwyżkę znieść i zepchnąć go do poprzedniego poziomu? Przecież to jest niepodobieństwem, chyba by państwo samo dobrowolnie poderwało swój kredyt, czego nie zrobi i zrobić nie może. Nadto Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, do którego p. W. się odwołuje, orędując za jego projektem, znalazłoby się w dziwnem położeniu. Naprzód jako instytucya opiekuńcza przemysłu i handlu musiałoby wystąpić przeciw tym dwu gałęziom gospodarstwa społecznego, korzystającym z obecnego położenia, a powtóre, prosząc o wiec rolniczy, mogłoby otrzymać kłopotliwą dlań odpowiedź: wszakże macie w swem łonie osobną sekcyę rolniczą, czemuż ona nie zbada sprawy i nie przedstawi swych wniosków za pośrednictwem głównego organu w Petersburgu? Nie wątpimy, że członkowie tej sekcyi gryzą podsuwany im twardy orzech, że probują go rozłupać radcy Towarzystwa kred. ziemskiego a wreszcie ukształcone odpowiednio jednostki; ale wszystkie te wysiłki rozumów nie doprowadziły do niczego, skoro nikt nie wystąpił ani z lekiem, ani z receptą. Wątpimy zaś, ażeby szczęśliwsze były te rozumy w nowej kombinacyi ułożone i ażeby rozwiązały zadania, które przerosło siły posiadaczów i obrońców wiekszej własności ziemskiej w najoświeceńszych krajach przy najżyczliwszej pomocy swoich rządów. Rak sięga głębiej i rozpościera swe korzenie szerzej, niż wskazują jego objawy zewnętrzne; więc wycięcie guza nie uzdrowi chorego organizmu. Zresztą przy budowie i sądzeniu tej sprawy pamiętajmy zawsze, że każdy niemal dzień rozszerza po kuli ziemskiej sieć zależności jej pojedyńczych punktów. Już minęły i nie wrócą te czasy, kiedy szlachcic polski w sprzedaży zboża zależny był od Icka z poblizkiego miasteczka lub wreszcie od ...*mana* z Gdańska; dziś musi on słuchać, co powie Kanada lub Nepal, dziś porusza on się siłą sprzężyn działających w całym świecie. Czy może się od nich odosobnić i nie dźwigać tego brzemienia, które obciąża rolników Europy i Ameryki?

Odczuwamy ich biedę, a jednakże jest ona pomyślnością dla innych klas społecznych. Bo czegoż w obronie ziemian żądamy? Ażeby zboże było drogie, ażeby biedacy mieli mniej chleba. W dziwne sprzeczności uwikłał się umysł ludzki dzięki starganemu pasmu stosunków ekonomicznych! Wywija nam się z ust jakaś poetyczna, waryacka logika, a jednak ma ona swoje uzasadnienie w życiu utkanem z bezsensów.

Doprawdy z bezsensów! Niedawno postawiłem żartobliwą wróżbę, że przy naszej gospodarce kolejowej, skierowanej przeważnie ku wyzyskiwaniu wyższych posad dla dobra osobistego, a lekceważącej interesy społeczeństwa, mogą zmartwychwstać dawni furmani, zapewniający komunikacyę nieco powolniejszą, ale tańszą. I zmartwychwstali — naprzód wzdłuż klasycznie niedbałej Terespolskiej, później — Nadwiślańskiej, a obecnie tak zwycięzko współzawodniczą z drogami żelaznemi, że te postanowiły za pomocą osobnych komisyj zbadać grunt walki i ocenić siły przeciwników. „Przekonano się bowiem — powiada *Kuryer warszawski* — że konkurencya ta z każdym rokiem przybiera groźniejsze rozmiary, istotnie sprawiające dotkliwy uszczerbek interesom kolejowym na bliższych dystansach. I tak: większość fabrykantów z Tomaszowa rawskiego, zamiast wysyłać swe towary koleją do Warszawy przez Koluszki, ładują na furmanki, przy pomocy których przewóz kosztuje o $^1/_3$ taniej, niż koleją, bez kłopotu naładowania na odległą o kilka wiorst stacyę w Tomaszowie, przeładunku w Koluszkach i wyładowania w Warszawie.“ Jeżeli tak się rzecz ma z transportem towarowym, to cóż mówić o osobowym? Co mówić o przejeździe np. koleją Terespolską, skoro ona bilety *sezonowe* (dla letnich mieszkańców) wprowadza we *wrześniu*, kiedy już wszyscy wrócili do Warszawy? Zauważy ktoś, że ogłosiła ich sprzedaż wtedy, kiedy otrzymała pozwolenie z ministeryum. Ale dlaczegóż nie przerała się — jak inne — o to wcześniej i setkom ludzi, mieszkających wzdłuż jej linii, przez całe lato utrudniała komunikacyę? Zaiste należałoby się dziwić, gdyby przy naszym systemie „strefowym,“ który, naprzekór węgierskiemu, każe płacić za dłuższą odległość, niż podróżny przebywa, nie wyręczały pociągów furmanki.

Miejmy nadzieję, że koleje uprzystępnią się dla ludzi i towarów, gdy do lokomotyw zastosowany zostanie „Samson.“ Jest to świeżo wynaleziony przez mechanika tutejszego, p. Br. Kosińskiego któryś tam z rzędu cud świata, zamierzający dokonać epokowego przewrotu w przemyśle fabrycznym. Według ogłoszonego w pismach „komunikatu,“ ma ów „Samson“ być małym stosunkowo przyrządem, a posiadać taką siłę śród kotłów, którą zastąpi i wyruguje, jaką posiadał jego imiennik biblijny śród spółczesnych mu ludzi. „Jest przytem — głosi trąba herolda — ów wynalazek wielce ekonomicznym, gdyż zużytkowywa w stosunku do potrzeb kotłów parowych zaledwie $^1/_{10}$ część materyału palnego, wydając *te same* rezultaty, *bez względu nawet* na rodzaj paliwa... Da on się zastosować do wszelkich maszyn stałych i transportowych, jak: parostatki, koleje, tramwaje, a nawet do ekwipażów i wozów ciężarnych.“ I to wszystko zacznie się od r. 1890, o czem wkrótce mają nas przekonać próby. Dla zapisania tego wielkiego faktu otwórzmy i przygotujmy dwie księgi: dzieje wynalazków i zbiór bajek. Zobaczymy, która nam będzie potrzebną.

Warszawska szkoła weterynaryjna obchodziła 50-lecie swego istnienia. Z ogłoszonego w pismach jej życiorysu nie będę przytaczał nazwisk dyrektorów i profesorów, wykładanych kursów i statystyki studentów. Zauważę natomiast przy sposobności, że szkoła ta nie zdołała wytworzyć u nas w szerszym zakresie ani badań specyalnych, ani uznania dla nich. Weterynarz jest dla nas ciągle konowałem, istotą z szarego końca inteligencyi, patentowanej w wyższych zakładach naukowych. Nie potrzebuję chyba rozumnym czytelnikom tłomaczyć, jak wielką doniosłość dla wiedzy ogólnej mają badanie nad zwierzętami, którym najważniejsze swe podstawy zawdzięcza biologia i fizyologia, a następnie medycyna. Nie potrzebuję również wykazywać użytku praktycznego tej nauki w zakresie naszego gospodarstwa i hodowli. Spytam tylko: czemu my jej nie uprawiamy należycie i czemu ją lekceważymy? Czy dla nas nie nadeszła jeszcze pora wyjścia z okresu „konowalstwa“ i zestawiania ukształconego weterynarza z ciemnym chłopem, odpędzającym zaklęciami zmory od koni lub węże od wymion krowich? Czy my jeszcze nie rozumiemy, że każda dziedzina nauki jest zarówno czcigodną, że ta może nam odkrywać wielkie prawdy i dawać nieocenione korzyści? Wszelka wiedza, jak roślina, w upośledzeniu marnieje, nie rozwija się i nie rodzi takich owoców, do jakich z natury jest zdolną. To też nasza literatura weterynaryjna jest ubogą, a jej pracownicy rzadko wychodzą po za granice podręczników praktycznych. Nie wynoszą oni ze szkoły w swych piersiach zapału do badań, a jeżeli wynoszą, to życie swym chłodem szybko go gasi. A przecież tym ogniem długo ogrzewał się genialny Pasteur i jakąż w nim moc poczerpnął!

P. Juliusz Ochorowicz, wytrzymawszy mężnie lub cierpliwie burzę, jaka na niego zwaliła się z prasy po niefortunnych występach na katedrze publicznej, w szpitalu i praktyce lekarskiej, spokojnie i bez przeszkody korzystał ze swej sławy magnetyczno-hypnotycznego znachora. Pole działalności i zarobków rozszerzało się mu ciągle — był jednym z najbardziej pożądanych i wynagradzanych lekarzów w Warszawie. Jakie były rezultaty stosowanych przez niego ruchów, blaszek, poddawań myślowych — nie wiemy, gdyż sam on nimi się nie popisywał, a jego przeciwnicy

znużyli się kontrolą. Nie była wszakże z nich zadowoloną policya, gdyż odwołała się do odpowiedniej władzy w Petersburgu z zapytaniem, czy może tolerować praktykę lekarską p. Ochorowicza. I oto w tych dniach nadeszła odpowiedź, ogłoszona publicznie i polecona do wypełnienia organom policyjnym, a wzbraniająca mu bezwzględnie zarówno przyjmowania chorych u siebie, jako też radzenia im w mieszkaniach. Przeczytaliśmy tę wiadomość ze smutkiem. P. Ochorowicz bowiem, zanim został Łukaszkiem hipnotyzmu, zanim puścił się na zarobkowanie środkami wątpliwej wartości naukowej, był zdolnym literatem, poetą, redaktorem, badaczem, wybornym popularyzatorem wiedzy, pomysłowym fizykiem, dał piśmiennictwu kilka prac cennych, zasłużył sobie w niem na dobre imię — i to wszystko poświęcił dla sławy kuglarskiej, dla karyery niezaszczytnej! Po co mu to było? Czy mu nie szkoda siebie samego, gdy dziś się widzi na stanowisku znachora, dozorowanego przez policyę? Może roznamiętnił się do swej sztuki i gry, więc czuje tylko gniew wobec przeszkody; ale nam go żal szczerze. Nie po termomikrofonie, który był figlem popisowym, grosze przynoszącym i pomimo szumnych wróżb zginął zapomniany, ale po obszernem dziele francuskiem o suggestyi sądziliśmy, że p. Ochorowicz wybrał sobie tajemniczą dotąd dziedzinę ciekawych i poważnych badań naukowych. Zamiast posuwać tę pracę z pożytkiem i powodzeniem, przyjechał do Warszawy, rzucił rękawicę całej medycynie, skompromitował się nieznajomością jej, zaczął leczyć wszystko, aż wreszcie tę praktykę przecięła mu policya. Czy obejrzawszy się na ostatni dystans przebytej drogi, nie żałuje, że z niej zboczył? Jeżeli nie — to jeszcze inne wyjście w tym kierunku znajdzie, ale do nauki już nie wróci. A my tylko tego powrotu mu życzymy.

Nie życzymy natomiast cofnięcia się p. Witkiewiczowi, który w *Tygodniku ilustrowanym* drukuje i ilustruje wrażenia z Tatr. Gdy kiedyś rozwijał swoją teoryę estetyczno-malarską, podziwialiśmy jego zapał sekciarski; ale gdy teraz opisuje górali zakopiańskich i wdzięki tamtejszej przyrody, podziwiamy jego talent. Są to bowiem szkice literackie nietylko bardzo piękne i oryginalne, ale wielce pouczające. Witkiewicz tak przyswoił sobie odmienną mowę ludu zakopiańskiego, której ustawicznie i z wielką wprawą w swej opowieści używa, że daje nawet lingwistom cenny materyał językowy, którego gdzieindziej w takiej obfitości nie znajdą. Jest to więc praca wielostronnie wartościowa, w naturalizmie swoim niepodrobiona, ze znamionami talentu i prawdy, z barwą świeżości i urokami piękna.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Elewatory. — Jak objawia niezadowolenie z nich Odeska „bosa komenda." — Danina Rosyi „czerwonemu kogutowi." — Kredyt melioracyjny dla bawełnictwa środkowo-azyatyckiego. — Dalsze rozpostarcie cywilizacyi na Kaukaz i Turkestan.

Do najwybitniejszych środków, przedsiębranych w ostatnich czasach przez rząd i samo społeczeństwo w Rosyi celem opanowania żywiołowości handlu zbożowego, wewnętrzno-zewnętrznego — należą niewątpliwie elewatory. Mają one do spełnienia wiele, a przedewszystkiem nadzieje rolników-kapitalistów. Nadzieje zaś te przy pewnych warunkach mogą być zupełnie usprawiedliwione i nie będą wcale płonne. Już dziś kapitaliści rosyjscy dostatecznie sobie uświadamiają wartość ekonomiczną tej instytucyi amerykańskiej, reszta zależeć będzie od praktyki, od ducha przedsiębierczości oraz poparcia rządu i towarzystw kolejowych. Elewator, jak wiadomo, jest składem i sortownią zboża: oczyszcza on je, klasyfikuje i — przechowywa. Ta jego dwojaka działalność powołaną zostanie do podniesienia jakości ziarna, czyli, co zatem idzie — jego wartości wymiennej, z drugiej zaś strony regulować będzie podaż zboża na rynkach zewnętrznych i wewnętrznych. Przy dotychczasowem rozdrobnieniu handlu zbożowego pomiędzy setkami małych kupców, nie posiadających dużych kapitałów obrotowych, ustalił się zwyczaj na rynkach krajowych zakupywania zboża nie w dużych partyach, lecz w stosunku do spożycia tygodniowego. Tymczasem wytwórcy-rolnicy, nie mogąc częstokroć puszczać w obieg swego zboża stopniowo i w drobnych dawkach, wysuwają je w znacznych partyach, przewyższających zwykle rozmiary konsumcyi tygodniowej. Stąd nadmierna podaż i fatalna dla wytwórców zniżka cen. To, co było pociechą dla spożywcy — obracało się na klęskę dla rolnika. Elewator temu zapobiega. Dając rękojmię całości i dobroci zboża i umożliwiając na zasadzie warantów kredyt gospodarzom wiejskim, pozwala im przeczekać niepomyślną *dla nich* chwilę przeładowania rynku. A wszystko to osięga się za opłatą nieznacznego procentu. Elewator więc powinien być ideałem dla rolników. Urzeczywistni go naturalnie tylko wielki kapitał, pojedyńczo lub w połączeniu. Gdy to się stanie — wybije ostatnia godzina drobnemu pośrednictwu wymiennemu, drobni kupcy ustąpią miejsca wielkim przedsiębiorstwom elewatorowym. Obecnie jednak instytucya ta stawia pierwsze kroki, nie ma jeszcze za sobą przeszłości w kraju, nie wykazała wartości użytkowej swoich usług i walczyć musi z rutyną gospodarzy wiejskich, którzy, przekładając pośrednictwo drobnych „przekupniów," kładą się w poprzek drogi jej pochodu, zamiast barkami swymi ją podeprzeć. To właśnie zachmurza czoło pionierom ulepszeń handlu zbożowego; budzi obawę, żeby opieszałość w korzystaniu z usług tej instytucyi, gdzie ona już zdołała korzenie zapuścić, nie skazała jej na przedwczesną śmierć w zarodku.

Ale znajdzie się i na to rada. Przeświadczenie o ważności elewatorów w sferach wpływów i władzy społeczno-gospodarczej jest już tak wielkie, że gdy na I-ym zjeździe taryfowym w Petersburgu podjęto wniosek ulg dla elewatorów, nie napotkał on śród uczestników zjazdu ani jednego zarzutu zasadniczego, — rozchodzono się tylko w szczegółach. Na obradach postawiono następujące pytanie: czy wyższe oszacowanie ziarna skutkiem oczyszczania jego w elewatorach nie stanowi już samo przez się dostatecznego bodźca do korzystania z elewatorów? Zjazd orzekł, że nastąpi to dopiero wtedy, gdy zorganizowana zostanie cała sieć elewatorów w państwie i oczyszczane przez nie zboże stanie się poważną wielkością na rynku. Do tego czasu elewatory winny pozyskać inną rękojmią swojego bytu. Tą rękojmią mogą być ulgi taryfowe, które zechcą poczynić koleje elewatorom, — opłata różnickowa za przewóz w kierunku tych ostatnich.

Nie drzemie też i duch przedsiębierczych wielkich posiadaczy ziemskich. Związali się oni w towarzystwo, które zamierza stworzyć całą sieć elewatorów w Rosyi, np. w Odesie, Sewastopolu, Chersonie, Nikołajewie, Kerczu, Akermanie, Berdiańsku, Maryupolu, Taganrogu i innych portach morza Czarnego i Azowskiego, jakoteż przy rzekach żeglownych, w najbardziej ożywionych punktach zbytu zbożowego i na stacyach kolei żelaznych. Elewatory portowe mają zostawać w ścisłym związku z wewnętrznymi. Przedsiębiorstwo to, jak zapewnia *Južnyj kraj*, posiadać ma 25,000,000 rs. kapitału, na który się złoży emisya 5% akcyj, umarzanych w ciągu 38 lat. Towarzystwo czyni zabiegi o przyznanie sobie ½-kopiejkowej opłaty od puda zboża, wysyłanego do elewatorów na edukacyą... Te groszowe usługi przynosić im będą mizerny *milion* rubli rocznie!..

Gdzie drwa rąbią tam wióry lecą. Dzisiejsza technika stosowana w portach, przystaniach i na stacyach kolei żelaznych w sprawie ładowania i wyładowywania towarów daje mnóstwu ludzi zajęcie; z chwilą zbudowania elewatorów zakres pracy ręcznej znacznie będzie zwężony: winda zastąpi mięśnie najmickie. Ale to nic — to przejdzie... Operacya będzie bolesna, ale rana się zagoi, przecież po amputacyi można jeszcze kuleć, zanim matka-ziemia ulituje się. A jednak pomysł elewatorów, jako potężnej dźwigni regulacyjno-centralizującej, sam w sobie, gdy się odwróci oczy od cienia posępnego, który mu współczesne stosunki przyczepiają z tyłu — jest wspaniałym nabytkiem cywilizacyi. Jeden z takich nabytków, elewator południowo-zachodnich dróg w Odesie, świeżo zbudowany, nie zważywszy ani jednego łuta żyta, — zwęglił się z. m., grzebiąc w popiołach pół miliona nakładu. Pozostała z niego tylko część. Kto wie, co pożar wznieciło — ręka przypadku, nieostrożności, czy zbrodni? Światło niejakie na przyczynę katastrofy rzuca następująca okoliczność, zapisana w gazetach odeskich. Niedawno policyant miejski (gorodowoj), w czasie nocnych czatów spostrzegł nieopodal elewatora trzech robotników. Jeden z nich coś opowiadał towarzyszom z żywością, gestykulując przytem. Policyant zbliżył się do nich niepostrzeżony i wysłuchał następującą rozmowę:

— Tak, koniecznie trzeba mu puścić „czerwonego koguta"!.. My z jego powodu robotę stracimy... Po kiego djabła nam ten „lewator"...

„Niezadowoleńców" wsadzono do cyrkułu. Z badań okazało się, iż noszą oni nazwiska: Panasiuk, Beuza i Miszyn, a trudnią się — *czarną robotą*. Dwaj ostatni zeznali, iż Panasiuk namawiał ich do podpalenia. Fakt ten stoi osamotniony, tem niemniej jednak jest wybornym termometrem uczuć, które t. z. „bosa komenda" czyli *Lumpen-proletariat* żywi dla tych nowych urządzeń. Powtarza się tutaj to, co już historya wcielenia technicznych ulepszeń w przemyśle (maszyny) i żegludze rzecznej (parostatki) zapisała na Zachodzie...

Skorośmy już napomknęli o „czerwonym kogucie," dowiedzmy się, ile mu Rosya w ciągu 28-lecia złożyła haraczu. Oto są cyfry odnośne, ogłoszone przez centralny komitet statystyczny. Na zasadzie wiadomości zawartych w raportach gubernatorów ogólna liczba pożarów wybuchłych w ciągu 28 lat (1860—1887) tylko w 49 guberniach Rosyi europejskiej wynosi przeszło 782,000. Spaliło się w nich 2,819,000 budowli, a ludność poniosła strat na 1,348 milionów rubli. A zatem „czerwony kogut" pożarł prawie — półtora miliarda! Podatek za duży... *Ruskija wiedomosti* obliczyły, że gdyby tę sumę rozłożyć na całą ludność 49 gubernij, okazałoby się, że na każdego mieszkańca miasta wypadłoby 1 rs. 16 kop. rocznego podatku, a na mieszkańca wsi, gdzie budynki są tańsze — 52 kop. To też rząd wydał niedawno cały szereg przepisów zapobiegawczych nakazał mieszkańcom zaopatrzyć się w narzędzia ratunkowe, a policyi dozór. Ponieważ jednak zło tkwi głębiej, bo aż w dobrobycie ludności, który pozostawia dużo jeszcze do życzenia, środki zalecone będą słabym lekarstwem. Tu tylko asekuracya przeciw-ogniowa mogłaby podciąć nieco skrzydełek „czerwonemu kogucikowi," jeśli także potrafi wyminąć tenże szkopuł ekonomicznych warunków.

Komisya założona przy ministeryum skarbu dla opracowania zagadnienia o środkach poparcia handlu i produkcyi bawełny w ruskich posiadłościach środkowo-azyatyckich — ukończyła swoje prace. Jakkolwiek bawełnictwo w Turkestanie zrobiło znaczny postęp, nie oparło się jeszcze na

trwałym gruncie. Za najważniejszą przyczynę tamującą należyty zbyt bawełny interesowani podają brak prawidłowego a dostępnego kredytu. Otóż teraz stanie się zadość tym kwileniem niemowląt kapitalizmu. Komisya opracowała szczegółowy projekt udzielania przez Bank Państwa pożyczek na zastaw bawełny. Manipulacya ta ma się odbywać na takich samych zasadach, jakie są przyjęte przy dawaniu pożyczek na zboże przewożone kolejami. Pożyczki więc będą udzielane przez Bank na bawełnę, przeznaczoną do wywozu i złożoną w składach kolejowych. Bank Państwa gotów jest nawet w razie potrzeby budować sam w tym celu składy. Ale takie udogodnienia kredytowe pójdą na korzyść kupców. Nie pominięto jednak i plantatorów. Komisya oświadczyła się również za pożyczkami dla wytwórców w celu ułatwienia im nabywania lepszych gatunków nasion, narzędzi i przeprowadzenia irygacyi. Tu jednak ten środek kapitalistyczny napotkać by musiał na przeszkodę miejscową. Produkcya bawełny turkestańskiej spoczywa w ręku drobnych gospodarzy-tubylców, których własność ziemska jest gminną. Ale wybrnięto z tej trudności: pożyczki będą przyznawane wprost spółkom wiejskim do rozdziału między członków. Wszystkie główne zasady projektowanego kredytu dla kupców bawełnianych zostały uznane, pożyczki zaś będą wydawane aż po powrocie p. Wyszniegradzkiego z Turkestanu.

Kaukaz z Turkestanem będą prawdopodobnie w krótce włączone do panującego w reszcie państwa systemu więziennego. Udał się już do tych prowincyj naczelnik głównego zarządu więziennego, p. Gałkin-Wraskij. W czasie tej wycieczki zwiedzić ma wysepkę „Czeczeń," leżącą na morzu kaspijskiem naprzeciw ujścia Tereku. Ponieważ Sachalin i Syberya mają za ostry klimat dla mieszkańca Kaukazu, jest podobno zamiar urządzenia na tej wysepce „katorgi" dla przestępców tubylczej ludności.

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

(W sprawie kulparkowskiej).

Akt oskarżenia, ogłoszony w pismach przeciw zarządowi szpitala w Kulparkowie na podstawie zażaleń chorego Zakrzewskiego, wywołał śledztwo urzędowe. Wysłana komisya, po zbadaniu świadków orzekła, że ujawnione fakty są po części fałszywe, a po części źle wytłomaczone, że podający je waryat nie uległ żadnym prześladowaniom i nie może być uznany za sędziego stosowanej doń kuracyi, że przeto całe oskarżenie upada. Nie rozstrzygając jeszcze tej sprawy, zamieszczamy poniższe uwagi jednego z naszych współpracowników krakowskich w tym przedmiocie.

Trzeba więcej, niż zimnego usposobienia, trzeba chyba zupełnie stracić wiarę w *drukowane*, żeby nie odczuć tak gorąco pisanych skarg, zaprzeczyć faktom w tak jaskrawem przedstawionym świetle. Albo też — trzeba być fachowo świadomym rzeczy, znającym z doświadczenia przebieg takich spraw i pochwycić subtelności, które sprawę wikłają, a wiarogodność jej czynią wątpliwą. Ze sprawozdań dziennikarskich specyalista stanowczo orzecze, że podniesiono kopię w sprawie człowieka niewątpliwie obłąkanego — pokusiłbym się nawet o rozpoznanie: *Paranoia chronica.*

Jak duch Banka pokutuje dotąd w łamach prasy stara historya o złamaniu żeber hr. Dzieduszyckiemu. Ale cóż robić, gdy obłąkany w szał popadnie? Jeżeli obsługa liczna — kłopot mały. Jeden wdziewa kaftan na siebie i chwyta za ręce szalonego, drugi przenicowywa, że się tak wyrażę, kaftan z posługacza na chorego. Chory w paru minutach jest bez wielkiego wysiłku do łóżka przywiązany i bezwładny. Ale jeśli jest się sam na sam z szalonym? Jedynie można go uchwycić w pół, zachodząc mu ile możności z tyłu i podniesieniem w górę obezwładnić. Policzków i kopnięć, jakie w tej operacyi dostawać się zwykło, nawet mało inteligentny posługacz liczyć pewnie nie będzie, bo to chleb powszedni. Ale wracam do rzeczy. Trzeba wiedzieć, że ludzie podlegli zboczeniom umysłowym z powodu towarzyszących często zaburzeń w reszcie ustroju nerwowego, a więc i tak zwanych troficznych gałęziach nerwowych, miewają do tego stopnia kruche żebra, że dość, aby który raz się szarpnął, a w podobnym uścisku nie dwa, ale po pięć żeber z każdej strony pęknąć może. Radą tutaj jedyną byłoby uposażenie zakładu w dostateczną ilość posługaczów — myślę, że choć trzy razy taką, jaka jest dzisiaj — o tem zaś nie lekarze stanowią.

Zakrzewski gotów się stać drugiem takiem straszydłem i odbierać niezbędnie potrzebnemu zakładowi zaufanie kraju; wiele zatem powinno zależeć na wyjaśnieniu dokładnem sprawy.

Pomijam zarzut: „nie leczono chorego." Każdy niemal chory tak utrzymuje, boć w leczeniu cierpień umysłowych najmniej mikstur i maści się używa. Zresztą wspomniany chory najprawdopodobniej jest nieuleczalnym, a w dodatku pokazuje się, że leczono go. „Zawijano w mokre prześcieradła, przykładano synapizmy, zastrzykiwano eter *w okolicę w tym celu nieużywaną.*" W którą okolicę lekarz ma środki wstrzykiwać— trudno orzekać przy zielonym stole.

Kuracya hydropatyczna może być używaną do torturowania. Podczas praktyki wojskowej widziałem stosowanie jej t. zw. simulatom. Jeden np. silny, rosły mężczyzna jąkał się dla uniknięcia służby wojskowej. Zawinięto go w mokre prześcieradła i koce na czas od godziny 8 rano do 4 wieczorem. W południe dostał tylko rosół i kieliszek wina, wody kiedy i ile chciał. Nazajutrz pauza. Trzeciego dnia znowu operacya wodolecznicza, a gdy piątego dnia przystępowano do niej po raz trzeci, simulat ów słabym głosem, bo pocenie się takie bardzo osłabia, ale bez śladu jąkania się przemówił. Wolał trzy lata służby wojskowej, niż parę dni potów.

Niemniej jednak zarówno leczenie zawijaniem w mokre prześcieradła, jak wstrzykiwania, gorczyczniki, a ten ostatni bezsprzecznie we właściwem miejscu na karku przyłożono, jeśli chciano spowodować odciągnięcie krwi z mozgu — w celach leczniczych nader częste znajdują wskazanie. Trzeba by tu bardzo biegłego psychiatry, a musiałby on bardzo dokładnie i szczegółowo w sprawie się rozpatrzyć, chorego długo obserwować, aby z czystem sumieniem orzec, że w danym wypadku środki owe nie były wskazane.

Mniejsza, że *Kuryer codzienny* chce prawidłowości umysłu Zakrzewskiego dowieść ustępem wyjętym z jego skargi: „*Ból moralny, jaki z powodu tego szatańskiego sponiewierania godności mojej, pod pozorem leczenia, czułem, opisać się nie da.*" Ustęp to tak znamienny i tak częsty w pismach obłąkanych, że nieraz gwałtem nasuwa się pytanie: „czy też ten chory nie odpisał swych skarg od drugiego?" Trudno jednak wymagać, aby wszyscy o tem wiedzieli.

Ale oto dalszy ustęp z artykułu *Kuryera*: „Czy człowiek obłąkany, a jak chciano nawet, furyat, mógłby podobną skargę napisać? Wszak *wiadomą* jest rzeczą, że obłąkani, gdy w szał popadną, tracą zupełnie świadomość i nie wiedzą o tem, co się z nimi działo." Opuszczono tu jedno słowo: „wiadomą *nam* jest rzeczą," bo powszechnie wiadomem jest, że to, czy obłąkany pamięta, co robił, czy nie — stanowi momenț rozpoznawczy dla różnych form obłędu. Wielu chorych na umyśle popisuje się znakomitą pamięcią, niezmierną skrupulatnością i dokładnością opisów. Tysiące sofizmatów o tem, co stać się mogło — rzecz dla nich mało ważna, że się nie stało — tak powiążą z prawdziwymi szczegółami, że niemal niepodobna dowieść kłamliwości ich twierdzeń.

„Z. przyznaje, że był podrażnionym." I to już dużo. Znałem takiego, co nie był *podrażnionym*, ale tylko *osłabionym* nerwowo. Większa może część obłąkanych, odczuwając nieprawidłowość swego stanu, mówi o podrażnieniu lub osłabieniu nerwowem. Otóż znajomy mój w czasie logicznej zresztą rozmowy zaproponował lekarzowi, że mu butelką czaszkę strzaska, a za kwadrans go wskrzesi.

Dzienniki zarzuciły komisyi wydziału krajowego, że wysłuchała tylko jedną stronę, bo lekarzy, zakonnice i obsługę szpitalną — wielu i zdrowych ludzi. Same zaś oparły się prawie wyłącznie na skardze — jednego obłąkanego.

O ile wiem, Zakrzewski dotąd znajduje się w zakładzie, a niewątpliwą dla mnie jest rzeczą, że żaden prokurator nie spróbuje debiutu w tej sprawie. Przyjacielowi odradziłbym to z pewnością, bo za dużo miałby potem do czynienia z odczytywaniem i dochodzeniem bezpodstawności skarg, nie samych już waryatów, przebywających w zakładach, ale i ich rodziny. Jeśli bowiem jest rzeczą pewną, że z wszystkich fachów największą popularnością cieszy się sztuka lekarska, to z działów jej najwięcej znowu zwolenników ma niewątpliwie psychiatrya.

W całej batalii dwa widzę zarzewia. Pierwszem — walka *Dziennika polskiego* z wydziałem krajowym. Ale to sprawa teatru, zostawiam ją na boku. Drugiem — poznajomienie się z dziełem Schrödera, który wystąpił z twierdzeniem, że nie lekarze, specyaliści, bo tym ufać nie można, ale owszem laicy powinni rozstrzygać sprawy dotyczące obłąkanych. *Dziennik polski* pomieścił niedawno recenzyę tego dzieła, a teraz składa dowody, o ile Schröder miał w niem racyę.

Uhma.

KRONIKA.

Sprawy szkolne. W Rydze zawiązało się towarzystwo pomocy dla uczących się w zakładach naukowych kraju baltyckiego. Fundusze tego towarzystwa złożą się z wkładek członków honorowych i rzeczywistych, z ofiar pieniężnych i książek, z dochodów osięganych z koncertów, odczytów itp. Towarzystwo podejmuje się wnoszeuia wpisów dla uczniów niezamożnych, zaopatrywania ich w książki, odzienie, a na wypadek choroby — leczenia swoim kosztem. Tym, którzy ukończyli kurs, ułatwiać będzie przejazd do miast w celu dalszych studyów. Nasza niezamożna młodzież szkolna znajduje się w tych samych warunkach, co w kraju nadbaltyckiem — niech zapamiętają to filantropi nasi...

— Do uniwersytetu kijowsktego na 157 kandydatów żydów przyjętych będzie tylko 43.

— Profesorowie wydziału prawnego w uniwersytecie warszawskim, pp. Walenty Miklaszewski i Antoni Okolski pozostaną na zajmowanych dotychczas katedrach przez dalsze pięciolecie.

— W Jekaterynosławiu mają być otwarte warsztaty, w których kształcić się będą mechanicy przeznaczeni do obsługi maszyn rolniczych.

— Do szkoły sztygarów w Dąbrowie górniczej w r z. szkolnym przyjmowano najchętniej takich kandydatów, którzy odbyli praktykę w kopalniach. W roku bieżącym zaś, według *Tygodnia* piotrkowskiego, stale wymaganem będzie świadectwo rocznej praktyki. Tylko w razie niedostatecznej ilości kandydatów majacych rzeczone swiadectwa, przyjmowani będą i inni. Również i do egzaminu dopuszczani będą na przyszłość przez zarząd tylko zaopatrzeni w ten dokument.

— Pani Zofia Roszkowska uzyskała koncesyą na otwarcie zakładu wychowawczego bon i piastunek. W koncesyi postawione są następujące warunki: 1) nie wolno przyjmować kandydatek należących już do stanu nauczycielskiego, 2) żadnych wykładów w formie lekcyj i uczenia obcych języków urządzać nie należy. Zakład poprzestanie na obznajmieniu kandydatek, jak mają postępować z dziećmi różnego wieku, oraz zapoznaniu ich z metodą froeblowską, której później do zajęć i zabaw dziecinnyah będą mogły zastosować.

Przemysł i handel. *Gazeta losowań* zaprzecza twierdzeniom pism ruskich, jakoby skutkiem poprawy kursu rubla przywóz towarów zagranicznych się powiększył. Owszem, urzędowe dane tego mniemania nie usprawiedliwiają. Wykazy komór od stycznia do czerwca r. b. stwierdzają zmniejszenie dochodów celnych o 3,926,000 rs.

— Dla skierowania wszystkich towarów, idących do Gdańska i innych portów pruskich do ruskiego portu w Windawie, ta ostatnia ma być połączona kanałem z rzeką Dubissą, dopływem Niemna.

— We wsi Sączew, pow. będzińskiego, w lasach rządowych odkryto pokłady węgla kamiennego, obejmujące 406 morgów 159 prętów przestrzeni. Wydzielenie gruntów pod kopalnię nastąpi 7 października r. b.

— Zbiory bawełny w Stanach Zjednoczonych przyniosły w r. b, 7,311,332 bel. Urodzaj ten przewyższa najwspanialsze dotychczas zbiory o 265,489 bel, a zeszłoroczne o 373,032.

Życie społeczne. Komisya przy ministeryum spraw wewnętrznych obmyśla środki wzmocnienia kolonizacyi kraju południowo-usuryjskiego. Zamierzone jest opodatkowanie wszystkich chińczyków i korejczyków, mieszkających w tej prowincyi. Dla tem trwalszego zaludnienia Usuryi, wychodźcom ruskim nadawane będą działy wśród ziem, zajętych przez tubylców.

— Zmarła w Rzymie Józefa Komornicka uczyniła zapis 15,000 rs. na nagrody dla polskich kompozytorów muzycznych. Testatorka przeznacza odsetki od tej sumy na nagrody za trzy najlepsze utwory muzyczne, jakie w trzyletnim okresie wyszły z druku i publicznie były wykonane. Do nagród modą się kwalifikować wszelkie oryginalne utwory: opery, symfonie, pieśni itp., ale kompozytor musi być pochodzenia polskiego i chrześcianinem...

Zdrowie publiczne. Departament lekarski ministeryum spraw wewnętrznych odezwą z d. 23 sierpnia r. b. (s. stylu) p. Julianowi Ochorowiczowi, jako nie posiadajacemu stopnia lekarza wzbronił trudnić się leczeniem wszelkiega rodzaju chorób, jak również stosowaniem hypnotyzmu. Żeby zakaz był ściśle spełniony, na władze policyjne włożono obowiązek dozoru nad hypnotyzerem.

— Nowa ustawa, dotyczycza aptek i mająca wejść w wykonanie z rokiem przyszłym, zaprowadza wagę dziesiętną w aptekach i powierza kierownictwo nad niemi tylko farmaceutom, usuwając zupełnie felczerów.

— Budowa miejskiej kamery dezinfekcyjnej w Warszawie jest zapewniona. Magistrat na ten cel oddaje plac około 30,000 łokci kwadratowych na Koszykach. Będzie ona zbudowana kosztem inżeniera-technologa, p. Klebera, według najnowszych wymagań techniczno-hygienicznych. Główny kierunek nad nią powierzony ma być znanemu d-wi Nenckiemu. Zadaniem kamery będzie dezinfekcya ubrania rekonwalescentów szpitalnych, którzy przebyli choroby zaraźliwe itp.

— W celu uzdrowotnienia wielu miast gubernialnych i powiatowych, departament medyczny zamierzył ustanowić w Królestwie Polskiem stałe komisye sanitarne, na wzór istniejących w Cesarstwie.

Sprawy kolejowe. Konwencya międzynarodowa w przedmiocie przepisów, dotyczących przewozu towarów kolejami — bliską jest wprowadzenia w wykonanie. Projekt odnośny z małemi zastrzeżeniami, nie uznającemi udzielenia „refakcyi,“ przyjęty został ostatecznie przez radę związkową niemiecką oraz przez ruską radę państwa. Zawiadomiony o tem rząd szwajcarski, który pierwszy w latach 1878, 1881 i 1885 powołał był na obrady w tej sprawie do Berna delegatów Austro-Węgier, Belgii, Francyi, Holandyi, Luksemburgu, Niemiec, Rosyi i Włoch, — zaprosił je obecnie w drodze dyplomatycznej do wysłania na dzień 13 października do Berna delegatów, dla usunięcia spornego punktu „refakcyi“ i ostatecznego podpisania rzeczonej konwencyi.

— Złożony w departamencie kolejowym przez kolej wiedeńską projekt taryf bezpośredniej komunikacyi w związku rumuńsko-galicyjsko-gdańskim został już zatwierdzony, z wyjątkiem stawek na przewóz ryżu i śledzi do stacyj, położonych na wschód od Lwowa. Ze względu na te ostatnie rząd ruski polecił odnośnym kolejom ruskim porozumieć się z drogą austryacką Karola-Ludwika, w celu wyrównania opłat przewozowych na ryż i śledzie ze Szczecina i Gdańska do Brodów i Podwołoczysk z odpowiedniemi opłatami podług szematu taryf przewozowych z Gdańska przez Mławę i Kowel oraz z Królewca przez Grajewo do Radziwiłłowa i Podwołoczysk.

Gruźlica. Profesor Koch w jednym ze szpitalów berlińskich robić ma na ludziach próby z nowym środkiem leczenia suchot.

— **Zmarli.** Stanisław Mikucki, profesor wydziału filologicznego w uniwersytecie warszawskim, w wieku 76 lat. Był to wielki eurydyta językoznawczy, dziwak i kapcan znany,

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani Adeli C. Utwór jeszcze niedojrzały.
Pani Annie Ros. Nie dla nas.
Panu Tom. To nie do druku.
Panu A Sal. W opracowaniu za mało artyzmu.
Panu F. P-l. Dla takich rozpraw nie mamy miejsca.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 7 Сентября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.